W NUMERZE: W trakcie ▬ Łódzki epizod Józefa Piłsudskiego ▬ Kościół łódzki na rzecz etosu polskiego ▬ Mamy rektora! ▬ Świadczyć i pomóc zrozumieć ▬ Literatura ▬ Felietony

Łódź odgłosy tygodnik społeczno-kulturalny

NR 24 (1227) ROK XXIV 14 CZERWCA 1981 R. CENA 3 ZŁ

POZNAŃ 1956
OBRAZ WYDARZEŃ

Poznań — 1956. *A. Florkowski*

Aż do Sierpnia „wypadki poznańskie" nie miały żadnych historycznych opracowań (wyjątkiem była wydana w 1971 r. w Paryżu rozprawa dziennikarki **E. Wacowskiej „Poznań 1956"**) Większość faktów była więc nieznana a oceny ograniczały się do ogólników. W nowej, posierpniowej sytuacji — i w związku z 25 rocznicą „Poznańskiego Czerwca — przed historykami stanęło zadanie ustalenia przyczyn i chronologicznego następstwa zdarzeń. Nie jest to łatwe ze względu na dystans czasowy, niedostępność szeregu źródeł, luki w archiwach itp.

Poniższy materiał jest dziennikarską próbą opisu wydarzeń i nie rości sobie prawa do pełnej faktografii. Wykorzystano w nim relacje świadków, doniesienia prasowe, dokumenty znajdujące się w archiwum KW PZPR w Poznaniu, a przede wszystkim dwa — bodaj jedyne obecnie istniejące — opracowania historyczne tematu: pióra dr **Andrzeja Choniawki** (publikowane dotąd tylko we fragmentach i prezentowane na sesji naukowej w UAM w Poznaniu w maju br.) oraz dr **Aleksandra Ziemkowskiego.** Ten ostatni tekst —dotąd nie ogłoszony — nosi tytuł **„Próba chronologicznej rekonstrukcji wydarzeń"** i ukaże się wkrótce w monografii **„Poznański Czerwiec 1956"**, przygotowywanej z inicjatywy Społecznego Komitetu Budowy Pomnika Ofiar Czerwca przy współudziale poznańskich naukowców i „Solidarności" na obchody rocznicy (przez Wyd. Poznańskie).

Obu Autorom oraz Wydawcy składam podziękowanie za udostępnienie wspomnianych prac.

TOMASZ SOLDENHOFF

(czytaj na str. 6)

nas nie zagłuszy się oklaskami

Konferencję tę poprzedziły niespokojne spekulacje, podniecenie, niepewność. Nie tak dawno na bałuckiej konferencji programowo-wyborczej przepadł w tajnym głosowaniu cały dotychczasowy Komitet Dzielnicowy, na Widzewie zaś w głosowaniu jawnym wybrano „stary garnitur". Jak będzie na Górnej? W kuluarach, na długo przed wejściem delegatów na salę, roztrząsano najrozmaitsze warianty wyborów. Jednak najczęściej słyszało się stwierdzenie, że „nas nie zagłuszy się oklaskami".

Emocje nie opadły do końca, napięcie nie zmalało, ludzie nie uspokoili się i delegacje z poszczególnych zakładów ciągle o czymś ze sobą rozmawiały i naradzały się.

Znam z autopsji tego typu konferencje i nie raz obserwowałem panującą na nich liturgię. Zaskoczył mnie nowo prowadzony partyjny savoir-vivre, bo jak pamiętam żadna celebra nie mogła się odbyć bez podziału sali na tych „najwybitniejszych" i na tę „resztę". **Krzysztof Pawlak** z „Foniki", ubrany dość swobodnie (ciemne spodnie i biała koszula z niemodnie zawiązanym krawatem) na honorowe miejsce za stołem prezydialnym poprosił działaczy ruchu robotniczego, ludzi wielce zasłużonych i szanowanych.

Organizacja partyjna Łodzi-Górnej po wydarzeniach sierpniowych z ub. r. stała się najbardziej rzutką i zdecydowaną. Całe pakiety propozycji i postulatów (od sierpnia ub.r. do dziś zarejestrowano ich 983) uchwalonych w zakładach, szkołach i instytucjach zostały przekazane do Komisji Zjazdowej i do KŁ. PZPR.

(Szczególnie prężną okazała się organizacja partyjna działająca w ŁZR „Fonika", której uchwały zdobyły sobie niemały rozgłos).

Większość postulatów dotyczy jednak własnej dzielnicy, ludzi tam mieszkających i pracujących. I te postulaty trafiły na XXI Konferencję Programowo-Wyborczą. Zanim jednak zostały umieszczone w końcowej uchwale, były już szczegółowo omawiane w pierwszej fazie konferencji, która odbyła się 25 maja br. Dwustopniowość forum partyjnego pozwoliła więc na wzajemne bliższe poznanie się delegatów, na wstępne przedyskutowanie zagadnień, które miały znaleźć się na porządku dziennym właściwej konferencji programowo-wyborczej, dało możność przekonsultowania tych zagadnień z macierzystymi organizacjami partyjnymi, a także, co nie jest bez znaczenia, stworzyła szansę

Dalszy ciąg na str. 3

W PARTII NA DOLE
GMINNE SPRAWY

Absurdalny sposób gospodarowania ziemią i błędna polityka rolna doprowadziły kraj do katastrofy żywnościowej. W Holandii przeważają gospodarstwa o powierzchni 9—13 ha. Nam zarzucano nadmierne rozdrobnienie. Skąd się to wzięło? Reforma rolna miała zaspokoić głód ziemi, lecz już po kilku latach zaczęto ją chłopom odbierać (w ramach kolektywizacji) oraz walczyć bezpardonowo z kułakami. „Rozkułaczanie" doprowadziło do rozdrobnienia.

— I dziś chłopa na pięciu hektarach nie stać na kupno drogich maszyn — mówił *Jan Madaj. — Widły, których nie ma, kosztują 30 zł, a roztrząsacz do obornika 60 tys. zł. Chłopu wyłącza się prąd, SKR niszczą sprzęt, a przemysł jest dziesięć lat do tyłu. I dlatego w Japonii 1 ciągnik przypada na 4 ha, u nas zaś na 40 ha.*

Były dwa groźne okresy w naszej historii — ciągnął *Jan Madaj* — *które doprowadziły Polskę do ruiny. Prywata magnaterii w XVIII wieku i prywata czerwonej burżuazji w ostatnim dziesięcioleciu. W obu wypadkach interesy własne stawiano ponad dobro narodu. Kiedy tuż po wojnie istniała rywalizacja dwóch partii i nie było jednego wodza, trzeba się było opierać na masach, pozyskiwać zwolenników. Później podporządkowano wszystko komitetom, one dawały pracę i władzę, lub zwalniały, tworzyła się kasta ludzi wszechwiedzących. Aby temu zapobiec, władze partyjne należy wybierać jedynie spośród delegatów, i to na wszystkich szczeblach.*

29 maja br. na gminnej konferencji sprawozdawczo-wyborczej w Pabianicach, 47 delegatów POP (frekwencja 80 proc.) wybierało gminne władze partyjne spośród siebie. Jeden delegat miał prawo zgłaszać jednego kandydata, ale regulamin trzeba było złamać, ponieważ nie było chętnych do zgłaszania. Z początku rekomendacje szły z prezydium i z okolic, im bardziej jednak w głąb sali, tym mniej było chętnych do zgłaszania i do kandydowania. Wybrano jednak 21 członków Komitetu Gminnego. Odpadli dwaj byli sekretarze, nowym został *Zygmunt Gierczak*, dyrektor SKR w Ksawerowie. Delegatami na konferencję wojewódzką wybrano *Jana Madaja* oraz tow. *Marchewkę*, dyrektora gminnej szkoły zbiorczej.

Wydaje się jednak, że sprawę wyborów przesłoniła żarliwa, mądra dyskusja, pełna troski o losy najbliższego środowiska i kraju. Poruszano sprawę odradzania się kultu jednostki, przy czym wskazywano, iż nie należy winić tylko ludzi, ale przede wszystkim system sprawowania władzy. Domagano się rozliczenia winnych, w tym również za okres od Sierpnia po dziś. Tow. *Niewiadomski* z KŁ PZPR oświadczył: — *Nie wystarczy zmienić statut i skład Komitetu Centralnego. Trzeba jeszcze eliminować na co dzień zło w najbliższym otoczeniu.*

Nagromadziło się tego zła co niemiara. Ustępujący sekretarz KG, *Jarosław Włodarczyk*, stwierdził w swoim referacie, że kierownictwo KG popełniało błędy wskutek złych odgórnych poleceń i fałszywych informacji, np. na temat rejestracji „Solidarności", albo że rząd premiera

Dalszy ciąg na str. 3 i 4

ŁAGODNIE Z PAŁKĄ U PASA

Maciej Andrzejewski

Około piątej nad ranem zmęczeni dziennikarze i fotoreporterzy rozjechali się do domów. Poszli także spać zrotowani przez kolegów milicjanci. W dwie godziny później, kiedy ciągle jeszcze jako ostatni przedstawiciel prasy marudziłem w śródmiejskiej Komendzie, porucznik Kazimierz Kolinka przyjął dziwny zaiste telefon od jednego z podległych posterunków.

Meldnek brzmiał mniej więcej tak: *Poprzedniego dnia wieczorem, a więc w piątek 15 maja, kilka minut po godzinie 22, na obrzeżach miasta, w okolicach ulicy Krętej, został porwany niemalże z ramion narzeczonej pewien młody człowiek. Technika porwania przywodziła na myśl pogrążony w mroku Nowy Jork albo Chicago. Oszołomiona dziewczyna pozostała na chodniku, chłopaka natomiast wciągnęli do samochodu dwaj nieznani mu osobnicy. Był to „Fiat 125p" brązowy. Faceci zakleili ofierze usta i oczy tak zwanym przylepcem. Zapytali, czy może oddychać. Kiedy skinął głową, że może, zatrzymali wóz i wrzucili go do bagażnika, związawszy mu przedtem ręce i nogi..*

Jechali gdzieś z dużą szybkością, podczas gdy chłopak rozpaczliwie

Dalszy ciąg na str. 11

WSZYSTKIE PYTANIA KŁOPOTLIWE
Rozmowa z przewodniczącym ZŁ ZSMP — JERZYM MARCZEWSKIM

— III Nadzwyczajny Zjazd Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej upłynął pod znakiem „rozszalałej demokracji". Tak komentowali jego obrady dziennikarze, aczkolwiek równocześnie sprawozdawca telewizyjny potrafił powiedzieć, że zjazd wygląda tak, jakby nic się nie zmieniło: ci sami młodzi ludzie w białych koszulach i czerwonych krawatach. Moim jednak zdaniem również i zewnętrznie zjazd ten różnił się od poprzedniego. Ot, chociażby z tego powodu, że na II Zjazd wszyscy łódzcy delegaci pojechali w eleganckich, szytych na zamówienie sztruksowych garniturach i garsonkach. Właśnie, czy nie żal Ci tej kosztownej gali, do której tak bardzo przywykła Wasza organizacja?

— Prawdą jest, że zjazd doczekał się wielu określników. Przygotowywany był jednak spontanicznie pod na-

Dalszy ciąg na str. 5

KRONIKA KULTURALNA

ZAKOŃCZYŁ się XXI Festiwal Polskich Sztuk Współczesnych we Wrocławiu. Ogromny sukces odniosły na nim teatry łódzkie. Nagrodę główną festiwalu otrzymał **Kazimierz Dejmek** za reżyserię „Vatzlava". Wyróżnienia za reżyserię otrzymali: **Mikołaj Grabowski** (reżyseria i adaptacja „Trans-Atlantyku") i **Feliks Falk** (reżyseria „Pustaków"). Innych wyróżnień w tej kategorii nie przyznano. Jedno z 2 wyróżnień za scenografię (nagród nie przyznano) otrzymał **Krzysztof Pankiewicz** za „Vatzlava". Jedną z dwóch głównych nagród aktorskich otrzymał **Janusz Peszek** za rolę Gonzala w „Trans-Atlantyku". Wreszcie aż siedem z ośmiu wyróżnień za role aktorskie przypadło łodzianom. Otrzymali je: **Bogdan Baer, Ryszard Dembiński, Barbara Dziekan** za role w „Vatzlavie", **Władysław Dewoyno** i **Bogusław Sochnacki** za role w „Trans-Atlantyku" oraz **Ireneusz Kaskiewicz** i **Ryszard Sobolewski** za role w „Pustakach".

Ponadto jury orzekło nagrodę specjalną dla aktorów tworzących w „Vatlavie" zespół taneczno-wokalny.

W PRZEDDZIEŃ Święta Dziecka Międzynarodowa Kapituła „Orderu Uśmiechu" przy redakcji „Kuriera Polskiego" przyznała „Order Uśmiechu". Jednym z laureatów został łódzki prozaik, poeta i satyryk — **Igor Sikirycki**. „Order Uśmiechu" jest jedynym na świecie odznaczeniem przyznawanym przez dzieci. Z wnioskiem o przyznanie odznaczenia dla Igora Sikiryckiego wystąpiły zespoły uczniów i uczennic ze szkół w Sulejowie i w Chełmie. Gratulujemy!

NOWYM DYREKTOREM Teatru im. J. Tuwima w Łodzi został **Karol Obidniak**.

8 CZERWCA, Zarząd Główny ZLP przyjął m. in. w poczet członków Związku Literatów Polskich łódzką poetkę, **Ewę Filipczuk**, autorkę dwóch tomów wierszy — „Gra" i „Cafe Chaos", opublikowanych przez PIW. Gratulujemy.

9 CZERWCA, w siedzibie Wydawnictwa Łódzkiego odbyło się spotkanie z łódzkim środowiskiem literackim na temat bieżących i perspektywicznych problemów wydawniczych.

SPOŁECZNY KOMITET BUDOWY FILHARMONII W ŁODZI

Pan **MIROSŁAW PIETKIEWICZ**, honorarium, jakie uzyskał za wydrukowanie artykułu w 21 numerze „Odgłosów", przeznaczył na konto Społecznego Komitetu Budowy Filharmonii w Łodzi. Dziękujemy! Korzystając z tej miłej okazji podajemy numer tego konta: 47513-9481-132, PKO I O. Łódź.

W TRAKCIE...

1.

Dowiedziałem się właśnie z radia (wtorek, godz. 22), że ważne, decydujące o sytuacji politycznej Polski obrady XI Plenum KC PZPR zostały przedłużone i trwać będą jeszcze w środę. Tak się więc złożyło, że to, co miałem pisać p o, piszę w t r a k c i e trwania czegoś jeszcze nie ukończonego, nie podsumowanego, nie zwieńczonego uchwałą.

W końcu jednak — czyż nie mamy ciągle, zwłaszcza w ostatnich miesiącach, poczucia, że żyjemy w samym środku zdarzeń, w biegu, uczestnicząc w procesie ciągle nie zakończonym? Taka sytuacja nie daje korzystać z luksusu odczekania aż sprawy się uleżą, ułożą, wyjaśnią wyinterpretują. Informacja goni informację, zdarzenie — zdarzenie. Zmuszani jesteśmy do szybkiego działania, szybkiego reagowania, szybkiego podejmowania decyzji. Przewidywania biorą w łeb, plany się zmieniają; we wtorek miało być posiedzenie Sejmu, było za to plenum. Sejm jest przełożony na piątek — ale przecież nie będzie to to samo posiedzenie, skoro zostało poprzedzone XI Plenum. To, co piszę teraz, być może będzie miało jeszcze jakiś sens w czwartek gdy wyjdą „Odgłosy" — ale czy będzie miało sens za tydzień, gdy będzie już po posiedzeniu Sejmu?

Jesteśmy zmuszani do szybkiego działania, szybkiego reagowania, ale czy nauczyliśmy się tego? A cóż dopiero — przewidywania? Wiadomo było na przykład od dawna, że do 10 bm. trzeba wyjaśnić sprawę Bydgoszczy. Taka była umowa. Można było przewidzieć, iż ze sprawą tą trzeba coś zrobić. Konstruktywnego. Odpowiednio wcześniej, aby uprzedzić bieg wydarzeń. Tymczasem znów, jak nieraz, tym razem wicepremier Rakowski wysłany został do Bydgoszczy gdy zaczęło się już tlić. Nie powiem, żeby jego wystąpienie było nieprzekonywające; byłoby jednak na pewno b a r d z i e j przekonywające, gdyby z użytymi wtedy argumentami wicepremier mógł wystąpić wcześniej, jako reprezentant rządu działającego nie pod naporem okoliczności, lecz — tworzącego, organizującego te okoliczności. Bardziej by wtedy byli przekonani zwolennicy, mniej by mieli argumentów oponenci.

I kiedy jest mowa — także podczas XI Plenum — o zdecydowanych, konsekwentnych działaniach kierownictwa partii i rządu, to takie sytuacje, między innymi, podkładam sobie pod te sformułowania.

2.

Rządzić teraz — próbuję to sobie wyobrazić — nie jest łatwo. De Gaulle powiedział w swoim czasie, myśląc o Francuzach, że niełatwo jest rządzić narodem, który rozróżnia trzysta ileś gatunków sera. A jak rządzić krajem, w którym co dzielnica, co środowisko, co pokolenie, co persona, to inne zdanie, w którym najzwyklejsze zebrania trwają po kilkanaście, albo i po kilkadziesiąt godzin, kończąc się nierzadko... przełożeniem na inny termin? Bardzo u nas trudno o wypośrodkowanie opinii. Oto niektóre środowiska, powodowane względami politycznymi, bądź humanitarnymi, prowadziły niedawno kampanię na rzecz uwolnienia więźniów politycznych oraz braci Kowalczyków. Ale oto zdarzyło się kilka strajków głodowych w zakładach karnych i wcale niemała rzesza współobywateli zaczyna psioczyć na więźniów domagających się najsłuszniejszych (co zresztą przyznaje Ministerstwo Sprawiedliwości) swych praw: cóż sobie oni wyobrażają — jedzenie, spacery im potrzebne? A wypuść takiego, to cię zaraz zamorduje! Za małe są wyroki! Itd., itp. Szalenie łatwo dajemy się ponosić emocjom, ulotkom, plotkom, histerii, szalenie łatwo podpisujemy co kto nam tylko podsunie, nawet nie czytając, a cóż dopiero — zastanawiając się. Szczególnie to smutne, ba, przerażające, kiedy ten brak zastanowienia dotyczy kwestii bez mała być albo nie być.

Oto na przykład sprawa Bydgoszczy, i na jej tle — groźba strajku. Powiedziałem już na czym (moim zdaniem) polegał błąd strony rządowej. Ale przecież istnieje także druga strona, a mianowicie KKP NSZZ „Solidarność". Nie chcę wchodzić w samo meritum sprawy, skoro zajmie się nim specjalna komisja sejmowa pod przewodnictwem prof. Jana Szczepańskiego. Być może KKP ma swoje racje dochodząc twardej sprawiedliwości w sprawie wydarzeń z marca. Ale — prawdę mówiąc, zgrozą mnie przejmuje fakt, że 22 osoby mogły zadecydować o rozpoczęciu akcji strajkowej w dniu 11 czerwca. (No, może akurat ja jestem strachliwy i nie o to chodzi). Ale... Być może taka decyzja otrzymałaby poparcie zarządów regionalnych „Solidarności". Czy jednak, tak naprawdę, KKP zna opinię szerokich rzesz szeregowych członków związku na ten temat? Śmiem wątpić. Śmiem także wątpić w to, czy wszyscy z członków KKP głosujący za taką decyzją kierowali się r a c j a m i, a nie emocjami, bardzo już prywatnymi. Jeżeli w głosowaniu brał udział np. Jan Rulewski, miałbym duże wątpliwości co do motywów, jakie kierowały nim przy podnoszeniu ręki. W ogóle wolałbym, aby o losach kraju decydowali — rzecz jasna nie tylko po stronie „Solidarności" — ludzie zrównoważeni, ale i z wyobraźnią.

3.

Tymczasem, niestety, zdarza się, że niemały wpływ na atmosferę kraju, i na wydarzenia ma nie tylko histeria, ale i szczeniaterla polityczna. Oto na przykład sprawa (moim, ale to moim zdaniem — nieco skądinąd demonizowana) ekscesów antyradzieckich. Z autopsji znam tylko dwa głupawe, prowokacyjne hasła niesione podczas pochodu w sprawie więźniów oraz łódzkie pisemko, za którego pośrednictwem wydają pomruki — wydaje się im, że lwie — nie całkiem chyba dojrzałe trzy osoby, z których jedna notabene, jest członkiem zarządu łódzkiej „Solidarności". Poziom dowcipasków zawartych w tym pisemku jest żałosny, ale mniejsza o to. Gorzej — gdybym nie wiedział, że wśród redaktorów znajdują się członkowie KSS KOR, mógłbym przypuszczać, że nie jest to prostacka walka polityczna, lecz jakaś perfidna prowokacja. Bo przecież i takie przypuszczenia, w tym zamęcie, chodzą ludziom po głowie. Przypuszczam, że pomniki obsmarowują i zrywają z nich gwiazdy jacyś niedouczeni durnie, lub cyniczni prowokatorzy — ale przecież takimi nie są redaktorzy „Pomruku"? Pamiętają chyba, z jakim oburzeniem przyjmowała większość narodu księgę dowcipów o Polakach wydaną w USA. Czy sądzą, że reakcja władz, a i obywateli radzieckich jest inna? Że może być inna? O taką reakcję im chodzi? No, to dziękuję... Postukajcie się w głowę panowie, może przyjdą wam jakieś lepsze pomysły.

Pojawiła się tu, na ogół wstydliwie pomijana, nazwa KSS KOR. Mam do tej organizacji stosunek, który przez tzw. czynniki oficjalnie nie zostałby chyba pochwalony. Otóż sądzę, że poza paru (parunastoma? — nie chodzi o liczby) osobami, które ją organizowały, mając na względzie cele polityczne (polityczne w sensie dążenia do zmiany modelu ustrojowego), znaleźli się w niej także ludzie kierowani pobudkami najzwyklej humanitarnymi, myślący po prostu i naprawdę (było to po wydarzeniach radomskich) o prawach robotników. Represje, a i różnego rodzaju uwikłania, zrobiły swoje: trudno teraz wyjść z psychicznej piwnicy, nawet jeśli się wie, że piwnicy nie ma. A pora by, pora, zanim się nie popadnie w śmieszność uprawiania partyzantki w wyłętym lesie. To, co kiedyś było serio, teraz stało się pustym gestem.

4.

Piszę to, piszę, ale czy to przejdzie? Sporo miejsca zostało poświęcone w referacie Biura Politycznego, wygłoszonym przez tow. Kanię, środkom masowego komunikowania. Według tego, co z referatu wysłuchałem, wszystko to jeszcze powinno mieścić się w dopuszczalnych ramach. Później jednak były głosy dyskutantów, z omówień których nie wynikało co ma znaczyć ściślejsze kierowanie massmediami. Czy znów dyktat, wszechwiedza góry? Sądzę, że niektórym z członków plenum dyktat taki byłby po myśli. Nie mam złudzeń, że byłby po myśli także niektórych dziennikarzy, którzy wolą być ściśle kierowani, bo to ułatwia życie i zdejmuje odpowiedzialność. Sądzę jednak również, że kierownictwo partii wyciągnęło wnioski z fatalnych skutków dezinformacji, choćby po wydarzeniach bydgoskich. Sądzę, że w pamięci członków plenum pozostała wymowa IX plenarnego posiedzenia KC, podczas którego taki styl i metody poddane zostały druzgocącej krytyce.

Oddaję więc ten tekst, mimo że nie znam jeszcze ustaleń, podsumowania i uchwał.

JERZY KATARASIŃSKI

EWA NURCZYŃSKA

ŚWIADCZYĆ I POMÓC ZROZUMIEĆ

Organizowany w zmienionych warunkach życia społecznego tegoroczny, XXI Ogólnopolski Festiwal Filmów Krótkometrażowych w Krakowie, oczekiwany był z ogromnym zainteresowaniem. Wiadomo było, iż pojawią się na nim filmy, z których zdjęto anatemę i wprost z półek trafią na festiwalowy ekran. Spodziewano się filmów-dokumentów posierpniowych wydarzeń. Liczono na niespodzianki, które mógł przynieść czas, w którym krąg tematów tabu został przerwany. Czekano, jak zwykle, na wydarzenia artystyczne.

Festiwalowe i pozakonkursowe pokazy, filmy nagrodzone i pozostawione poza werdyktem jury, spełniły te oczekiwania, choć wyniesionym satysfakcjom towarzyszyła refleksja, iż prognozować dobrą przyszłość polskiego filmu krótkiego można głównie w oparciu o dwie przesłanki. Jedna wynika z potwierdzonego talentu tych twórców, którym pozwolono wreszcie przemówić z ekranu. Druga — z wiary, iż czas wolności, gdy minie okres zachłyśnięcia się swobodą wypowiedzi, gdy nieco ustanie nacisk biegnących w szaleńczym tempie wydarzeń, przyniesie filmy, których ambicje przekroczą prostą funkcję notacji i zaczną zmierzać w kierunku głębszej analizy tych zdarzeń i w jej wyniku powstaną też filmy silniej niż obecnie nacechowane artystycznym przetworzeniem i uogólnieniem. Dalszą możliwość samorealizacji talentów i swobód zarówno twórczych jak i dziennikarskich pozostawiam tu poza dyskusją.

Wyodrębnienie tych dwóch przesłanek wynika z obrazu polskiego filmu krótkometrażowego poddanego ocenie w roku 1981, lecz wypełnionego także filmami sięgającymi datą powstania do połowy lat siedemdziesiątych. W wielu bowiem przypadkach to, co z punktu widzenia publicystycznej i artystycznej dojrzałości najlepsze, to filmy, które zeszły z półek. Spośród nich wiele, co znaczące, otrzymało, bądź regulaminowe nagrody: *Grand Prix* „Złoty Lajkonik" — „*Elementarz*" *Wojciecha Wiszniewskiego* (1976), Nagroda Specjalna „*Srebrny Lajkonik*" — „*Egzamin dojrzałości*" (1978) i „*Próba mikrofonu*" (1980) — *Marcela Łozińskiego*, bądź *nagrody Klubu Krytyki Filmowej* — „*Stolarz*" *Wojciecha Wiszniewskiego* (1976) i „*Robotnice*" *Ireny Kamieńskiej* (1980). Film *Tamary Sołoniewicz* „*Kto za, kto przeciw, kto się wstrzymał*" (1978) wyróżniony został przez NSZZ „Solidarność" Mazowsze.

Nie były to przy tym nagrody mające jeno dać satysfakcję tym, którym nie dozwolono mówić wcześniej pełnym głosem i tym, którym głosu tego nie dano słuchać. Wyróżniono w istocie najlepsze filmy festiwalu.

Wymowa nagród przyznanych pośmiertnie *Wojciechowi Wiszniewskiemu* brzmiała nutą tragiczną, niosła ostrzeżenie. Twórca, którego przedwczesną śmierć mamy prawo łączyć z przeszkodami, z jakimi stykał się w czasie całej swej artystycznej działalności, nie doczekał dnia, w którym filmy jego stały się własnością nas wszystkich. Spotkanie z tymi filmami było zaś największym przeżyciem artystycznym festiwalu. Krótka forma filmowa nie była dla *W. Wiszniewskiego* wypowiedzią dokumentalisty. Materia społecznej rzeczywistości znalazła zarówno w „*Elementarzu*" jak i w „*Stolarzu*" swe głębokie przetworzenie, ujawniające się przede wszystkim poprzez taki jej układ, w którym każdy zainscenizowany, podpatrzony, czy wydobyty z archiwów obraz filmowy znaczył więcej, niż prosty jej zapis. Filmy znaków, symboli, metafor, nieoczekiwanych skojarzeń, zmuszając do wyjątkowej aktywności intelektualnej, są wyrazem niezwykłej wyobraźni tego artysty, wyobraźni, która u odbiorcy wywołuje rzadko osiągany stan emocjonalnej reakcji. Jej głównym wyznacznikiem jest przekonanie, że obcujemy tu ze sztuką, a to — jak wiemy — nie tak często się zdarza, gdyż w bogactwie rodzajowym filmu krótkiego poszukujemy najczęściej innych, pozaestetycznych wartości. Piękne, na granicy poezji ekranowej sytuujące się filmy W. *Wiszniewskiego*, niełatwo poddają się interpretacji. Gorzki sens „*Elementarza*", będącego próbą oceny stanu narodowej i moralnej świadomości współczesnych Polaków, trudno przyjąć, można się z diagnozami autora również nie zgadzać, nie można jednak oprzeć się estetycznej sile tego filmu. „*Stolarz*" odznacza się klarowniejszą, aniżeli poprzedni film, linią wywodu, którego tematem jest analiza paralelności losu jednostkowego ze zbiorowym. W prostym, zwykłym życiu, w sposób często przez jego podmiot nieuświadamiany, znajdują swe odbicie wszystkie drogi i zakręty historii narodu i świata. Gdy uspokajają się wichry historii, to życie trwa, toczy się dalej, o czym pamiętać winni rządzący owym światem i losami jego narodów.

Marcel Łoziński, zdobywca Grand Prix Krakowa w 1976 roku, laureat wielu innych nagród, znany jest szerszej publiczności także jako autor pełnometrażowego filmu „*Jak żyć*". Filmami „*Egzamin dojrzałości*" i „*Próba mikrofonu*" potwierdził Łoziński klasę najoryginalniejszego, w mym przekonaniu, dokumentalisty młodszego pokolenia. Cechą jego metody jest niezwykła wprost umiejętność wyszukiwania takich tematów, których analiza pozwala przekroczyć pułap znaczeń jednostkowych. Poddane wnikliwemu opisowi i interpretacji zdarzenia czy sytuacje, nie mają w sobie nic z przypadkowości. Wybrane są po to, by zająć się jednym z ważnych zjawisk społecznego życia, by dojść do źródeł przyczyn takich bądź innych jego anomalii. W „*Egzaminie dojrzałości*" jest nią obowiązujący system wychowawczy, w „*Próbie mikrofonu*" kamuflowane ubezwłasnowolnianie ludzi pracy, dla których słowa „współgospodarzenie" i „współzarządzanie" stały się, także wskutek funkcjonującego systemu, pustymi dźwiękami. W czerwcu 1981 roku filmy *Łozińskiego* oglądane były z uczuciem ulgi, nadzieją, że to już czas przeszły, że pozostają jedynie niezwykle cennym materiałem źródłowym i dowodowym dla badań historyków, socjologów, politologów.

Za taki materiał uznany też być może film *Krzysztofa Kieślowskiego* „*Gadające głowy*", który tworzą krótkie wywiady z Polakami od 1 do 100 roku życia, ich celem było uchwycenie autoświadomości i marzeń ludzkich.

„*Robotnice*" *Ireny Kamieńskiej*, pokazane kilka miesięcy temu w telewizji, otwierały nurt filmów przynoszących dramatyczne obrazy bytu ludzkiego, traktowanego w kategoriach najprostszych, lecz podstawowych, bo odnoszących się do biologicznych warunków egzystencji. Na ich tle rodziły się pytania o godność człowieka i współodpowiedzialność społeczeństwa za jego los.

Przerażający obraz warunków pracy kobiet z Krosna, nasuwający skojarzenia z XIX-wiecznym wyzyskiem robotnika, dopełniały w Krakowie trzy zwłaszcza filmy. „*Biała pani*" *Krzysztofa Kwinty* (Brązowy Lajkonik za debiut), to film ukazujący zadowolonych z siebie i mających czyste sumienie pracodawców starej kobiety, pracującej przy lasowaniu wapna. Reportaż „*Utopić szczura*" *Krzysztofa Juśkiewicza* przedstawiał jeden dzień

Dalszy ciąg na str. 10

MICHAŁ SPRUSIŃSKI

MICHAŁ SPRUSIŃSKI ur. 2 września 1940 r. w Krakowie, zmarł tragicznie 31 maja 1981 roku w Porto Heli w Grecji.

Poeta, krytyk literacki, tłumacz. Wydał trzy zbiory wierszy: „Popołudnie" (PIW 1963), „Horoskop" (PIW 1967), „Sen słoneczny" (WL 1972). Za twórczość poetycką otrzymał w 1968 r. nagrodę im. Andrzeja Bursy. W dorobku przekładowym ma wybory wierszy poetów amerykańskich — Conrada Aikena „Wiersze" (PIW 1968), Edgara Lee Mastersa „Umarli ze Spoon River" (PIW 1969, LSW 1971), Carla Sandburga „Wiersze wybrane" (PIW 1971), T. S. Eliota „Poezje" (WL 1978), angielskich — tłumaczenia liryki Miltena i Audena, czeskich — Holana oraz współczesnych poetów greckich.

Za monografię, „Juliusz Kaden Bandrowski" (praca doktorska na UJ, wydaną nakładem WL 1971) otrzymał nagrodę „Życia Literackiego" dla najlepszej książki krytycznej roku. Ostatnio pracował nad monografią poświęconą Czesławowi Miłoszowi.

Krytykę uprawiał do roku 1960. Pisał o poezji i prozie polskiej i obcej, współpracując z „Literaturą", „Kulturą" „Polityką", „Literaturą na Świecie", „Życiem Literackim", „Więzią", „Twórczością", „Dialogiem", „Miesięcznikiem Literackim", radiem i telewizją. W roku 1969 otrzymał nagrodę Pióra przyznawaną wybitnym krytykom młodego pokolenia. Na kilka tygodni przed śmiercią został przyjęty do PEN-Clubu.

Od sezonu 1979/80 był kierownikiem literackim Teatru im. Stefana Jaracza.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), JERZY KATARASIŃSKI (z-ca redaktora naczelnego), EUGENIUSZ IWANICKI (sekretarz redakcji) oraz zespół RYSZARD BINKOWSKI, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny).

Stale współpracują: TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JEDRZEJEWSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, EWA PANKIEWICZ, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI.

Korekta: MARIA GRABSKA, KRYSTYNA SARDECKA.

NAS NIE ZAGŁUSZY SIĘ OKLASKAMI

(Dalszy ciąg ze str. 1)

do wypracowania przez delegatów ich własnego programu. Tak więc delegaci zjawili się z gotowymi dokumentami, które będą przedstawione na konferencji do zatwierdzenia.

Jeszcze nie wszyscy zajęli miejsca, a już zaczęli zgłaszać się dyskutanci. Początkowo liczyłem podawane kartki, ale po trzydziestej którejś, dałem spokój. Jeśli każdy, kto wejdzie na mównicę, będzie mówił 10 minut, to sama dyskusja potrwa około 6 godzin. Doliczyć do tego czas przeznaczony na zgłaszanie kandydatów, do różnych komisji, na wojewódzką konferencję, wybory... Dodać do tego wszystkie przerwy na papierosa, przerwę na obiad... Zaczynam liczyć i wychodzi na to, że przed północą nie skończymy.

Ludzie mówią chętnie, niektórzy z tragizmem w głosie, inni jakby uginając się pod ciężarem tego, co w kraju się stało, jeszcze inni z determinacją. Jednakże we wszystkich wystąpieniach wyczuwało się jeśli nie przekonanie, to przynajmniej wiarę w rozsądek współobywateli, w możliwość wyjścia z polityczno-gospodarczego chaosu.

Zaraz na wstępie poddano ostrej krytyce projekt statutu PZPR. Kilku dyskutantów nie zgadzało się z zawartymi w nim sformułowaniami. Szczególne niezadowolenie wzbudził Rozdział III p. 32, w którym podano dwa warianty dotyczące pełnienia funkcji partyjnych z wyboru. Wariant pierwszy dopuszcza, aby funkcję z wyboru w organach wykonawczych można było nieprzerwanie pełnić nie dłużej niż dwie kadencje, ale w szczególnie uzasadnionych przypadkach konferencje partyjne mogą zezwolić na kandydowanie po raz trzeci. Potem musi nastąpić przerwa i można znowu ubiegać się o wybór. Wariant drugi zakłada, że takie funkcje można pełnić jedynie przez dwie kolejne kadencje — potem przymusowa przerwa i dopiero wówczas można kandydować ponownie. Zdaniem niektórych dyskutantów, gdyby przeszedł wariant pierwszy, wybór I sekretarza praktycznie równałby się dożywociu na tym stanowisku. A do czego to prowadzi, wiemy wszyscy aż nadto dobrze...

Domagano się także, by kandydaci do władz byli wybierani tylko i wyłącznie spośród delegatów na zjazd lub daną konferencję; by zjazdy partii odbywały się nie rzadziej niż co trzy lata; by delegaci na konferencje wyborcze wszystkich szczebli i na zjazd zachowywali ważność mandatów przez cały okres kadencji władz; by 50 proc. składek pozostawało do dyspozycji POP i KZ; wreszcie postulowano, by w „Postanowieniach końcowych" projektu statutu PZPR wprowadzić dodatkowy punkt zawierający sformułowanie, że „Każdy z członków komitetu danego szczebla może być odwołany przez konferencję delegatów tego szczebla". Te oraz inne postulaty zostały ujęte w „Uwagach do projektu statutu PZPR" i jako załącznik dołączone do podjętej przez konferencję uchwały.

Sprawy partii, odzyskania przez nią utraconego autorytetu i zaufania, zajęły dużo miejsca i właściwie nie było dyskutanta, który nie poświęciłby temu zagadnieniu bodaj kilku zdań. Mówiono o postawach moralnych członków partii, o jedności statutowej, potępiano frakcyjność, rewizjonizm i działalność rozłamową. Domagano się dwukierunkowości informacji, jawności życia partyjnego, podawania niesfałszowanych danych, równości wszystkich członków PZPR wobec statutu partii.

Drugim, niejako równoległym tematem, były sprawy dzielnicy Górna. Zarzucano władzom miejskim dyskryminację i opieszałość w jej rozbudowie, mówiono o skandalicznym stanie wodociągów (na Górnej są całe osiedla pozbawione wody do picia, a istniejące 140 punktów dowozu wody w beczkowozach nie zaspokajają potrzeb. Najbardziej upośledzone rejony to: Stare Rokicie, Ruda, ul. Śląska), poddawano krytyce remonty domów (Górna zajmuje ostatnie miejsce w Łodzi pod względem budowanych tu nowych bloków), domagano się rozwoju placówek służby zdrowia, objęcia opieką ludzi starych i chorych, dla których system kartkowy stał się całkowitą tragedią.

Na Górnej jest sporo nieużytków rolnych i terenów przeznaczonych pod budownictwo, które to tereny należałoby przeznaczyć na ogródki działkowe dla mieszkańców dzielnicy (wiadomo już dzisiaj, że część budownictwa wypadła z planów, a ziemia pozostaje niezagospodarowana). Niezwykle ubogie w placówki handlowe jest osiedle Chojny-Zatorze (2 sklepy zaopatrujące 6 tys. mieszkańców), wręcz skandaliczny jest stan ośrodków rekreacyjnych: Stawów Jana, Młynka, Stawów Stefańskiego, które zostały zanieczyszczone i w których doszczętnie zniszczono wszelkie życie... A obok tego na placach budów marnują się źle składowane materiały i narzędzia, ulegają dewastacji nowo wznoszone obiekty...

Dyskusja trwała do późnych godzin nocnych. Dla zilustrowania spraw podnoszonych na konferencji, wybrałem fragmenty ciekawych, moim zdaniem, głosów, które przytaczam.

BRONISŁAW BŁOTNICKI — z ŁZR „Fonika": „Chciałbym się krótko ustosunkować do nagminnego biadolenia o tak zwanym „kluczu". Nudzi już to nachalne twierdzenie, że za mało robotników we władzach, mało delegatów robotników. Jestem robotnikiem i moim zdaniem jest to kolejny niewypał. Przeżyłem wszystkie odnowy i w każdej był popyt na robotnika. Tu, na tej sali, nie widzę potomków Radziwiłłów czy Potockich. Olbrzymia większość — to towarzysze, którzy wyszli z klasy robotniczej, z inteligencji pracującej ... W każdych skupiskach, w zakładzie, uczelni, instytucji są ludzie oddani, znający środowisko, profil produkcji, warunki socjalne. Jako przykład nie waham się, i to nie przez kurtuazję, wskazać dyrektora naczelnego „Foniki". Wychowanek zakładu, zaczynał jako młody chłopak, przeszedł kilka szczebli. Spróbujcie dziś przyjść do zakładu i powiedzieć o nim złe słowo... Takim właśnie powinno się zaufać, a skończyć raz na zawsze z przywożeniem ludzi w teczkach...".

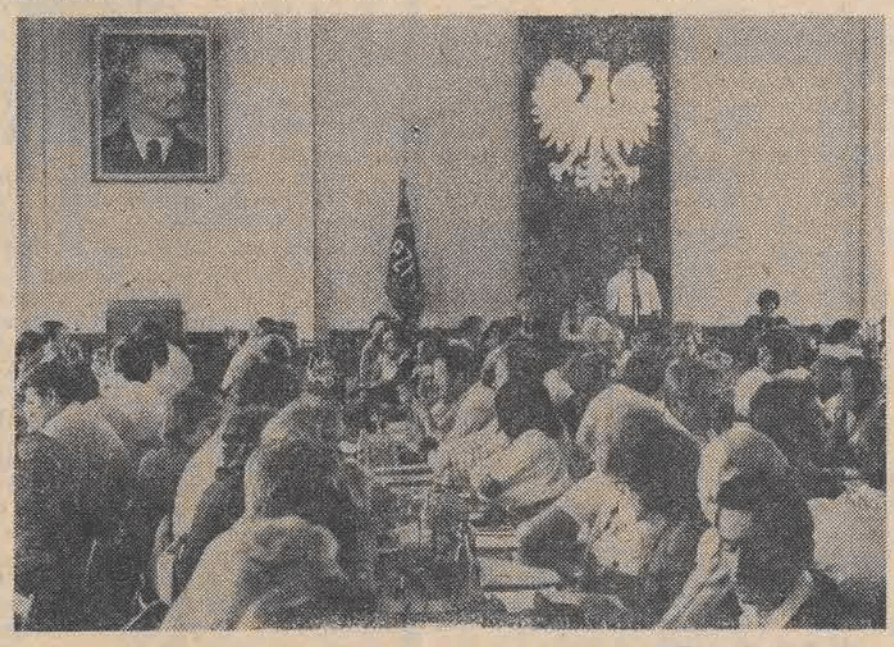

Foto: R. Łucyszyn

BOLESŁAW BAJOREK — Zjednoczenie Przem. Filc. i Tkanin Techn.: „Pragnę z tego miejsca wyrazić pogląd, że dla nas nie ma odwrotu i nie ma alternatywy. My jesteśmy po prostu skazani na dalszą, konsekwentną odbudowę podstawowych zasad życia społecznego, co oznacza uszanowanie godności osobistej człowieka, wolności w zakresie wyrażanych przekonań, co oznacza prawo do prawdziwej, pełnej i rzetelnej informacji przekazywanej społeczeństwu przez środki masowego przekazu, i co oznacza równość wszystkich wobec prawa... Jeżeli prawdą jest i ma nią być, że klasa robotnicza jest rzeczywistym organem władzy, to musi ona wiedzieć i być wszechobecną poprzez swoją partię we wszystkich dziedzinach życia. Tę wszechobecność zapewniają partii jej POP i KZ. To one, i tylko one mają pełną i wiarygodną informację o tym, co dzieje się w partii dobrego czy złego, co dzieje się w kraju, gdzie grożą deformacje i wynaturzenia, jakie są nastroje wśród załóg, a więc w społeczeństwie, gdzie grożą konflikty, na jakie decyzje partia ma lub nie ma poparcia... Dlatego opowiadamy się za porozumieniami poziomymi, to znaczy za wymianą wiedzy, oceną faktów i zdarzeń, za wymianą doświadczeń, myśli i poglądów...".

KRYSTYNA GRZELEWSKA — COBR Przem. Bawełnianego: „Nasi członkowie, tak jak i całe nasze społeczeństwo, są zmęczeni brakiem konkretów w działaniu, brakiem jakiegokolwiek programu, choćby krótkotrwałego. A przecież w kraju, w naszym mieście dzieje się coraz gorzej, kobiety są doprowadzone do kresu wytrzymałości. Z kartkami stoimy długie godziny w sklepach mięsnych, brakuje mleka, sera, mydła, proszków do prania, a ostatnio podstawowych artykułów odzieżowych, takich jak pończochy, bielizna... Jak długo tak można? Jaka jest wizja najbliższej przyszłości? Nasi towarzysze oddają legitymacje partyjne, często czynią to długoletni członkowie partii, ze stażem 20, 30 lat i nie są to ludzie, którzy przypadkowo przyszli do partii. Swoją decyzję motywują częstokroć tym, że partia jest bezsilna, że jest zajęta przygotowywaniem kolejnych kryzysów... Czy naprawdę trzeba było aż 4 kolejnych plenarnych posiedzeń KC, by wprowadzić 2 robotników do Biura Politycznego? Czy tak ma wyglądać propozycja wyjścia z kryzysu?"

LUCYNA BATOROWICZ — pielęgniarka IV Państw. Domu Pomocy Społecznej: „Jeśli mówimy o niedomaganiach ideologicznych w partii, to szybkiej rewizji wymaga cała polityka wydawnicza na tematy ideowo-polityczne, w tym czasopiśmiennicza. Trzeba skończyć wreszcie z zalewem broszurek, książek i czasopism, „cegieł" nic nie wnoszących, poza sloganami, do wiedzy o istotnych problemach. Ze stosunkowo jeszcze nie najgorszych „zagadnień i materiałów" należy uczynić szybki, wszechstronny i rzetelny informator partyjny o wszystkich sprawach interesujących członków PZPR."

GRODZISŁAW SMOK — inż. elektryk z „Foniki": „Polityką dzielenia pieniędzy wprowadziliśmy masę konfliktów społecznych między chłopami a robotnikami, między pracownikami fizycznymi a umysłowymi, pomiędzy poszczególnymi branżami a nie załatwiliśmy właściwie nic. Dzisiaj możemy sobie powiedzieć jakie kolejne grupy społeczne i zawody ogłoszą gotowość strajkową w lipcu, sierpniu i innych miesiącach. Dlatego śmieszne wydają się dzisiaj dyskusje o ile podnieść płace, a ile ceny..."

TADEUSZ NOWACKI — prac. fiz. z „Foniki": „... reforma nie ma szans, jeśli wcześniej nie zostanie rozbity, i to w pierwszym uderzeniu, opór kadry kierowniczej. Kadra doskonale wyczuwa, że skończył się dla niej okres ochronny. Już nie chodzi nawet o to, że wille, dacze, że za pół darmo. Inni tego rodzaju grzechów nie mają, ale boją się czego innego — boją się, że ich przydatność w nowym systemie zarządzania gospodarką okaże się znikoma, boją się również, że fakt odnowy zniszczy te finezyjnie budowane struktury, które wyniosły ich w górę — układy personalnych powiązań... Naród wie, że główne przyczyny kryzysu zostały wyprodukowane przez poprzednią ekipę, ale naród widzi również opieszałość i nieudolność obecnych władz wszystkich szczebli. Narodu zmienić niepodobna. Trzeba więc zmienić tych, którzy nie potrafią, by nie było jeszcze gorzej niż jest..."

Przedstawiciele ponad 14-tysięcznej organizacji partyjnej w tajnym głosowaniu wybrali 55-osobowe plenum KD, 31-osobową Dzielnicową Komisję Kontrolno-Rewizyjną, a także 51 delegatów na konferencję wojewódzką. Natomiast wybór I sekretarza KD był zupełnym novum w porównaniu do stosowanych dotychczas praktyk: nie wybierało go plenum ze swojego składu, lecz dokonano odrębnego głosowania. Zgłoszono w sumie 6 kandydatów, z czego 4 nie zgodziło się kandydować. Na placu pozostało dwóch: **Witold Sidewicz,** inżynier mechanik, dotychczasowy sekretarz KD d/s ekonomicznych i **Jerzy Chojnacki,** wykształcenie wyższe, I sekr. KZ w „Bistonie". **W tajnym** głosowaniu najwięcej głosów uzyskał **Witold Sidewicz.**

Dawno minęła północ ale nikt nie myślał o opuszczeniu sali obrad. Czekano na pierwsze plenarne posiedzenie nowo wybranego Komitetu Dzielnicowego. Wreszcie wychodzą. Zostaje odczytany protokół i już wiadomo, że sekretarzem organizacyjnym KD został **Wiesław Walczak** z „Polmo", sekr. ekonomicznym **Zdzisław Bubak** z ŁBP nr 2, sekr. propag. **Krzysztof Skrzypek** z ZPB im. Kunickiego. Wybrano ponadto 15-osobową egzekutywę Komitetu Dzielnicowego.

Nowe władze partyjne dzielnicy nie będą miały łatwego życia. Inny styl. Jak powiedział **Tadeusz Nowacki: „W partii będzie wtedy dobrze, kiedy „góra" będzie uzależniona od „dołów", a nie odwrotnie".**

EUGENIUSZ IWANICKI

GMINNA SPRAWA

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Pińkowskiego jest dobry (a po trzech dniach premiera zdjęto), czy też w sprawie stosunku do „Solidarności Wiejskiej" („nigdy takiej nie będzie!") Pierwszy z dyskutantów powiedział, na to, że skoro partia miała taki stosunek do „Solidarności" to teraz też się chyba z niej nie cieszy. Po czym dodał, że komisja rewizyjna KG nie zdała egzaminu, bo zamiast zajmować się życiem partii, kontrolowała, ile kto płaci składek. Podejmując ten wątek, tow. *Grodecki* z Ośrodka Badawczo-Rozwojowego w Żdżarach oświadczył:

— *Komitet Centralny oraz łódzka instancja wciąż zmieniały zdanie. Byliśmy w rozterce, nie wiedząc, czy iść z załogą czy zgodnie z rozkazami. Protestując przeciwko bezładowi władz partyjnych przestaliśmy płacić składki. Żądaliśmy energicznego działania od Komitetu Gminnego, ale sekretarz Włodarczyk surowo nas skarcił. Wysłaliśmy do Warszawy list na temat hamowania odnowy i nieudolności rządu. Domagaliśmy się ustąpienia B. Koperskiego i jak policzek przyjęliśmy fakt, gdy wysłano go na placówkę dyplomatyczną. Tak nie może być. Nie możemy dopuszczać, żeby ludzie wrastali w aparat władzy. W gminie również muszą pracować ludzie oddelegowani. Żeby zakład pracy nic nie tracił, niech partia refunduje uposażenia.*

Refundacja, owszem, ale w terenowych POP to bieda aż piszczy. Wielu towarzyszy, nie wytrzymawszy napięcia, oddało legitymacje, głównie rogotnicy. Żeby kogoś zawiadomić o zebraniu, sekretarze POP za własne pieniądze kupują znaczki pocztowe. Część pieniędzy ze składek członkowskich należy więc przelać na fundusz POP, żeby można chociaż herbatę wypić na zebraniu.

Trudna jest sytuacja oświaty, jeszcze cięższe warunki socjalne nauczycieli. Nauczycielka po pięćdziesięciu latach uczciwej pracy nie dostała nawet porządnego odznaczenia. A dyrektorzy szkół pracują za 400 zł, bo tylko tyle wynosi dodatek funkcyjny. Gdyby w gminie Pabianice, okalającej pierścieniem miasto, była rzeka, lasy, lub piękne jezioro, to by pewnie stanęły dacze, prominenckie pałace i dla oświaty można by coś przejąć. A tak, sprawa dosięgła dna...

Głos z sali: — *Dna też nie ma, ukradli!*

Jadwiga Miszczak, nauczycielka z Ksawerowa:

— *Pracujemy od siódmej do siedemnastej, często wyjeżdżamy, dokształcamy się, przygotowujemy lekcje, sprawdzamy zeszyty. Jak tu być żoną i matką, kiedy co kupić? Pensje są niskie, nie ma trzynastej pensji, autorytet nauczyciela upada. Nikt z nauczycieli nie otrzymał mieszkania z puli prezydenckiej w Pabianicach. Może więc zaadaptować na mieszkania pusto stojące budynki? Albo dać nauczycielom działki budowlane?*

Teresa Wrońska:

— *W Ksawerowie upadł projekt budowy kolektora, nie ma kanalizacji i ścieki spływają do stawów Stefańskiego. Ogrodnictwo pochłania zasoby wodne. Studnie wysychają, trzeba ogromnym kosztem budować studnie głębinowe. Ponadto żyły wodne są zatrute. Szkołę „buduje się" od dziesięciu lat, ale na papierze. W starej nauka toczy się na trzy zmiany. Przedszkole w ruinie, brak nawet pracownika gospodarczego. A gdzie sala gimnastyczna? Wychowujemy kalekie dzieci! Na sześć tysięcy mieszkańców jest jeden sklep mięsny, poczta i apteka, ale czynne do piętnastej. Dla kogo?*

Ktoś skomentował, że produkcja świń była ważniejsza niż ludzie. W chlewni dobra woda, a dla ludzi zatruta. Przykre to, ale przez cztery lata nie pojawił się na zebraniu partyjnym w gminie żaden sekretarz KŁ PZPR Dyr. *Marchewka* stwierdził, że mieszkańcy też są winni. Mało zaangażowani. Chciano stworzyć czwartą klasę przedszkolną dla sześcioletnich dzieci. Matki oświadczyły, że żadnego nie poślą, bo są za biedne. A na zebranie przyjechały własnymi samochodami...

W Ksawerowie widać jeszcze kawałki leżącej ugorem, zachwaszczonej ziemi. Stoją też piętrowe domy, pozamykane na wszystkie spusty. Właściciele mieszkają w miastach. Nie można ich wywłaszczyć, ale można by te domy wynająć nauczycielom. Z innych „dóbr" nie wykorzystanych jest jeszcze dworek w Piątkowisku. Właściciel za granicą. Urząd Gminny nie przejmie go. I to nie tylko ze względów prawnych, ale dlatego, że nie warto ładować milionów w kompletną ruinę. Urząd Gminny ma 1,6 mln funduszu i nie jest w stanie budować wielokilometrowej sieci wodociągowej w Ksawerowie. Trudno też budować nowe drogi, bo gdy zakłady pracy przejdą na własny rozrachunek, nie dadzą już „wspierających" milionów.

Obrady toczące się w świetlicy GS „Samopomoc Chłopska" trwały od pierwszej w południe do dwudziestej trzeciej w nocy. Wszystkie uwagi, postulaty i propozycje znalazły się w podjętych wnioskach i uchwałach. Oprócz jednej. Wskutek grożącego nam bezrobocia zaproponowano eks-

(Dalszy ciąg na str. 4)

W PARTII — NA DOLE

Dalszy ciąg ze str. 3

port nadwyżki siły roboczej do drugiej strefy płatniczej, uzasadniając to tym, że ludzie by zarobili, a państwo zyskałoby dewizy. Ktoś stwierdził, że partia nie może wypędzać ludzi za chlebem do kapitalistów. Kto ma rację, pokaże przyszłość.

Inny z dyskutantów udowodnił, że ratunkiem dla gospodarki jest stabilizacja i umocnienie złotówki. Jeszcze inny wskazał, że należy ograniczyć zakup surowców, zwłaszcza rolnych, na kredyt, natomiast eksportować tylko do strefy dolarowej. Eksport do innych krajów powinien odbywać się na zasadzie wymiany towarów.

Zebrani wyrażali niepokój brakiem dyscypliny społecznej. (Płaci się ludziom za godziny, a oni tylko łażą, obijają się i biorą ciężkie pieniądze). Zwracali także uwagę na sprawy bezpieczeństwa kraju, spokoju i ładu społecznego. A jednocześnie przypominano, że w kraju żołnierze zamiast do słusznych celów, wykorzystywani byli do ochrony dóbr prywatnych. Należałoby więc rozważyć, czy ze względu na trudną sytuację gospodarczą nie udałoby się, bez uszczerbku dla naszych sojuszów, ograniczyć wydatki na zbrojenia i na cele MSW.

GMINNA SPRAWA

Tow. *Kaczmarek:* — W gminie powstało wiele gospodarstw specjalistycznych, starano się utworzyć „pierścień mleczny". I co się dzieje? Gdzie jest mleko? A na halach leży mięso, z pięknej jałowizny, z krów! A tle niszczy się artykułów żywnosciowych!

No tak, gmina podmiejska, ale rolnictwo najważniejsze. Owszem, przybyło sporo ciągników, jednakże takich np. przetrząsaczy do siana ani na lekarstwo. A w ogóle to większość sprowadzanych maszyn nie nadaje się ani do naszych warunków klimatycznych, ani do wielkości gospodarstw. Istnieje duże zapotrzebowanie na budynki inwentarskie, ale GS nie dostaje cegły.

Naczelnik, *Mirosław Krata: — Trudno będzie odbudować pogłowie bydła. Bo jak ograniczyć ubój cieląt? Jak się chłopu będzie opłacać hodowla, to nie będzie bił! Cieszy mnie ogromne zainteresowanie ziemią. Wczoraj nad jednym kawałkiem ziemi debatowano cztery godziny. Szkoda tylko, że zagrały tam względy ambicjonalne. Bo kandydaci do tego kawałka reprezentowali dwie organizacje. Mamy w gminie 1000 członków „Solidarności Wiejskiej" i setki członków Gminnego Związku Kółek i Organizacji Rolniczych. Kółkowcy są w „Solidarności", a ci z „Solidarności" w kółkach. I na szczeblu gminy wszystko gra, ale w sołectwach kłótnie i ostra konkurencja. Dwa związki zawodowe rozbiją mi każdą wieś! Dla mnie to niech wszyscy chłopi należą do związku zawodowego „Solidarność" a kółka rolnicze niech się zajmą usługami. Innego wyjścia nie ma...*

A co na to sektor uspołeczniony? Spółdzielnia nie pohandluje tak jak chłop. Ma np. owce, które mogłaby sprzedać po 3,5 tys. za sztukę rolnikom, ale musi je zawieźć na skup i sprzedać po cenie o tysiąc złotych niższej. Kiedy nadejdzie regulacja cen żywności, spółdzielcy nie otrzymają wyrównawczych rekompensat. Powiedziałem do znajomego prezesa *Adamczyka*, że nic, tylko rozwijać hodowlę norek. A on na to, że od poniedziałku cena karmy wzrosła o... pięćset procent.

Inny przedstawiciel spółdzielni produkcyjnej oświadczył, że nieprzemyślana podwyżka cen za płody rolne może przynieść ujemne skutki. Oto na przyrost 1 kg wagi cielaka potrzeba 9 litrów mleka po 15 zł. W sumie rolnik dziennie dokłada do cielaka 60 zł. A jeśli dotrzyma go na tzw. siarze do wagi 50 kg i zabije, sprzeda po 180 zł kg. Na skupie płacą 72 zł.

Ten sam dyskutant wskazał, iż złotkwi w tym, że nie ma wypajalni cieląt ani „mlekopanu" zastępującego mleko. Jest jeszcze dużo krów u chłopów. Aby stan pogłowia nie zmalał, należy przyznać rolnikom dodatek hodowlany na jałówki. Ponadto mamy jeszcze duże rezerwy mięsa i dewiz w... królikach. Zbudowano za ciężkie miliony fermy królicze, w których każde zwierzę siedzi w osobnej, ocynkowanej klatce, z kanalikami do spływu moczu. Samice są szczepione, młode po dziesięciu dniach także, i zdychają. A najgorsze, że samice prawie wcale nie chcą się kocić. W dolarowych klatkach pomór, a na piasku i trocinach w kojcach króliki chowają się zdrowo. Gdyby jeszcze wszędzie były małe, prymitywne mieszalnie pasz, można by wyhodować miliony królików, których mięso jest zbliżone wartością do cielęciny.

Jako jeden z ostatnich zabrał głos rolnik ze wsi Janowice, tow. *Szapulera.*

— Wielu ludzi powoływało się bez przerwy na Lenina. Mówili w telewizji o normach leninowskich, o sprawiedliwości i uczciwości, o godności komunisty i trosce o robotnika. O chłopach mówili mniej. A jak tylko wyszli z telewizji, albo z trybuny, to kradli, budowali sobie pałace, więzili uczciwych ludzi, jak chociażby kardynała Wyszyńskiego, a nawet kazali strzelać do robotnika. Towarzysze, nie wolno krzywdzić Lenina! A Jaroszewiczowi dać minimum socjalne i niech stoi w kolejkach. Nie, żeby im wille pilnowały jakieś goryle!

Bogactwa mamy wielkie — ciągnął *Szapulera — i nie umiemy ich wykorzystać. Tona węgla kosztuje sto dolarów, a my nie oszczędzamy. Spalamy do wytapiania rudy w wielkiej hucie. A ja wiem, jaki z tego jest zysk? Albo ta ropa w Karlinie? Myślałem, że pojeździmy na tej ropie ciągnikami, a tam się wszystko porozrywało, miliony poszły w ziemię, uleciały w powietrze. Ktoś tu pytał, skąd się teraz wzięło tyle ziemniaków .A ja się pytam, jak chłop ma odzyskać zaufanie do partii? Przywiozłem do GS sześćdziesiąt worków kartofli, miały być po dziewięć złotych. Zapłacili po sześć złotych. To tak, jakby robotnikowi zabrano trzecią część pensji. Z ziemniakami nie zawinił chłop, tylko minister. Chłop zakopcował na karmę i na sadzeniaki z pewną rezerwą, bo nieraz to i połowa wygnije. W tym roku, chociaż wszystko na to wskazywało, jednak nie wygniły. Prawda, że rok był ciężki, że to i tamto się nie urodziło. Ale części zamienne też się nie urodziły, widły się nie urodziły, opony, nawet wentyle...*

Machnąwszy z rezygnacją ręką, spojrzał wymownie na świetlicowy transparent, gdzie wielkie, białe litery głosiły: Naszym celem — coraz lepsze zaopatrzenie rolników.

RYSZARD BINKOWSKI

MAMY REKTORA!

— W jaki sposób będzie Pan dążył do stworzenia właściwej atmosfery pracy naukowej w uczelni?

— Jakie widzi Pan możliwości podniesienia poziomu badań?

— Jaki reprezentuje Pan światopogląd?

— Jakie wartości uważa Pan za najważniejsze w życiu?

Dwaj godni panowie, prof. **Jerzy Kroh** w błękitnej koszuli, prof. **Jerzy Sułocki** w koszuli w błękitno-białą kratę (błękit tak pięknie podkreśla biel włosów i czerstwość cery) nie okazują zdziwienia żadnym pytaniem. Sala kinowa Politechniki Łódzkiej wypełniona w trzech czwartych. Są studenci, asystenci, profesorowie. Obok mnie siedzi matka z 3-letnią córeczką. Dziewczynka, nieświadoma powagi sytuacji, rysuje zwierzątka na kartce papieru. Może kiedyś matka opowie jej, jak to nie mając z kim zostawić jej w domu, zabrała ją na przedwyborcze spotkanie z kandydatami na rektorów. Na pierwsze tego typu spotkanie w dziejach uczelni, bo po 1956 roku, kiedy to uczelnie korzystały z tego prastarego przywileju, rektora wybierał jedynie Senat i ordynacja wyborcza nie przewidywała takich publicznych zmagań z wyborcami.

A pytania padają dalej.

— Co panowie sądzą o apelu uczelnianej „Solidarności", alarmującym o obniżaniu się poziomu badań naukowych w Politechnice, oraz krytycznej sytuacji w uczelni w zakresie zarządzania inwestycji.

Odpowiada prof. **J. Sułocki:**

— Apel ten uważam za przejaw głębokiej troski. Sytuacja w uczelni jest rezultatem stosowanej przez całe lata polityki w szkolnictwie wyższym; tłumienia wszelkich inicjatyw i samorządności. Uważano np., że wszystkie uczelnie winny być takie same. Skutki wielu nieprzemyślanych decyzji, np. nominacji, jak ja to nazywam — na docentów-amatorów, odczuwamy do dzisiaj. Proszę sprawdzić, ile z tych osób zrobiło habilitację. Do funkcji prorektorów, czyli do najwyższych godności w uczelni, dopuszczano ludzi bez tytułów profesorskich i dorobku naukowego. Były rażące uchybienia w awansowaniu młodej kadry naukowej. Zawsze odnosiłem wrażenie, że ze wszystkich decyzji i posunięć spogląda na mnie statystyczny pracownik naukowy, statystyczny student, a nie żywy człowiek. Jeszcze raz podkreślam, że apel „Solidarności" uważam za przejaw głębokiej troski o przyszłość Politechniki.

Odpowiada prof. **Jerzy Kroh:**

— Myślę, że nie powinniśmy się aż tak bardzo wstydzić w uczelni wyników badań naukowych. Katastrofalnie natomiast wyglądają inwestycje. Mimo trudnej sytuacji ekonomicznej w kraju, inne uczelnie, np. w Krakowie i Toruniu, rozwiązały te kwestie. Zgadzam się także z zawartą w apelu oceną stosunków międzyludzkich w uczelni i polityki kadrowej. Decyzje z 1968 roku ujemnie odbiły się na dzisiejszym obliczu uczelni. Narosło wiele bardzo trudnych, bolesnych spraw ludzkich. Powinniśmy więc ze wszystkich sił starać się oczyścić atmosferę w Politechnice i powrócić do zdrowych zasad etycznych.

Pytania padają dalej. Dziewczynka zarysowała już całą kartkę i biega teraz między krzesłami. Profesor **Kroh** rozśmiesza salę celną ripostą. Profesor **Sułocki** zjednuje obecnych swoją życiową dewizą: uśmiech dla wszystkich. (Spotkanie jest „na żywo" transmitowane do akademików). Przedstawiciel Niezależnego Związku Studentów koniecznie chce się dowiedzieć, jak kandydaci widzą kierowanie uczelnią.

Odpowiada prof. **Jerzy Kroh:**

— Nie widzę powodu, dla którego wszystkie uczelnie miałyby być jednakowe. Powinniśmy wydobyć to, co nas różni od innych politechnik i z tego uczynić nasz atut. Przywiązuję ogromną wagę do samorządności uczelni. W moim przekonaniu rektor nie powinien być tubą Senatu, ale wyraźną indywidualnością. Jeśli nie będzie miał szans na wykazanie własnych inicjatyw, to po co w ogóle wybierać rektora? Na pierwszym miejscu widzę potrzebę uzdrowienia klimatu moralnego uczelni, uporządkowania spraw kadrowych, uprzywilejowania tych pracowników, którym takie przywileje się należą, a którzy niesłusznie byli pomijani. Istnieje także pilna potrzeba podniesienia poziomu badań naukowych. Za bardzo ważną sprawę uważam rozwiązanie trudności dotyczących zatrudnienia absolwentów. Nie należy także zaprzestać starań o poprawę warunków lokalowych Politechniki.

Odpowiada prof. **Jerzy Sułocki:**

— Niezmiernie ważna jest reforma studiów. Powrót do właściwych warunków kształcenia. Niestety, w tej dziedzinie czerpaliśmy ostatnio wzory już nie ze szkoły średniej, ale z podstawowej. Trzeba zrobić wszystko, aby w uczelni można było studiować. Uważam, że studenci powinni np. dwa tygodnie po zakończeniu wykładów otrzymywać do ręki skrypty, powinni mieć możliwość uczenia się języków obcych nie na lekcjach, ale na kursach, takich jak w klubach MPiK. Takich przykładów można by podać znacznie więcej. Sądzę również, że uczelnią nie powinno się rządzić, ale współzarządzać.

Jeszcze pytanie, czy kandydaci będą preferować własne wydziały:

— Skąd znowu?!

... rozwijać sport akademicki:

— Oczywiście!

... czy są za demokracją:

— Czy ktoś może mieć wątpliwości?

3 czerwca nikt już pytań nie zadaje. O godz. 9.20 uczelniana komisja wyborcza zasiada za stołem w sali konferencyjnej na II piętrze gmachu Rektoratu, a 147-osobowe Kolegium Elektorów na swoich miejscach. Zgodnie z ordynacją wyborczą Politechniki (każda uczelnia ma obecnie własny, opracowany przez swoją społeczność regulamin) wyboru rektora i prorektorów dokonuje kolegium, złożone z elektorów wybranych przez samodzielnych pracowników naukowych każdego z wydziałów, spośród ich grona, w liczbie 1 elektor na pełną czwórkę wyborców. Pozostali nauczyciele akademiccy wybierają 1 elektora na każdą zaczętą liczbę 40 wyborców. Studenci każdego z wydziałów wybierają spośród swego grona 1 elektora na każdą zaczętą liczbę 200 wyborców. Podobne zasady obowiązują pozostałych pracowników uczelni.

Po raz pierwszy wybiera się rektora w takim gronie. Przewodniczący komisji wyborczej, prof. **Bolesław Bachman**, nie kryje wzruszenia.

— Witam Państwa na posiedzeniu Kolegium Elektorów, zebranym dla wyborów rektora Politechniki Łódzkiej, w roku akademickim 1981/1882. Dla uzupełnienia podaję, że dopełniono wszelkich formalności regulaminowych. Zgodnie z przyjętą przez nas organizacją, proszę o objęcie przewodnictwa najstarszego z elektorów, prof. Stanisława Kuczewskiego.

Prof. dr hab. Jerzy Kroh, urodzony w 1924 roku, członek-korespondent PAN, jest wybitnym specjalistą w dziedzinie chemii radiacyjnej. Po studiach w Uniwersytecie Łódzkim i Politechnice, studiował w Anglii i w Kanadzie. Po powrocie do kraju położył duże zasługi w zorganizowaniu Katedry Chemii Radiacyjnej w Politechnice Łódzkiej, a następnie międzyresortowego Instytutu Techniki Radiacyjnej, którego jest dyrektorem. Prof. J. Kroh jest autorem przeszło 200 prac naukowych. Pełni m.in. funkcję prezesa Polskiego Towarzystwa Badań Radiacyjnych i Izotopowych im. M. Skłodowskiej-Curie. Wchodzi również w skład zarządu Międzynarodowego Stowarzyszenia Badań Radiacyjnych. Funkcję rektora obejmie z początkiem nowego roku akademickiego.

Niestety, prof. **Stanisław Kuczewski**, jak informuje z jego upoważnienia jeden z elektorów, dwa dni temu powrócił ze szpitala i dochodzi do zdrowia w domu. Bardzo chciałby przyjechać na wybory, ale lekarze obawiają się, że zbyt wielka doza emocji i wzruszeń nie będzie korzystna dla schorowanego serca pacjenta. Przewodnictwo obrad przypada więc kolejnemu seniorowi, właśnie prof. **Bachmanowi**.

Trwają jeszcze formalności, zostaje wybrana komisja skrutacyjna. Ustala się formę głosowania. Zebrani otrzymali już kartki z nazwiskami kandydatów. Wybrane przez siebie nazwisko kandydata na rektora elektorzy ujmują w ramkę. Głosowanie jest tajne, elektorzy podchodzą do urny kolejno, wydziałami. Rektorem zostanie kandydat, który otrzyma 50 proc. plus jeden głos w stosunku do liczby obecnych elektorów. Po oddaniu głosów nie wolno opuszczać sali.

— Jestem prawie pewien, ale nie do końca, — mówi mój sąsiad z lewej strony — **że profesor Kroh wygra te wybory. Kandydaci nie różnią się zasadniczo w poglądach.**

Kilka minut po godz. 10 przewodniczący komisji skrutacyjnej, doc. **Władysław Reimschüssel** odczytuje protokół. Mój sąsiad miał rację. Zdecydowaną większość głosów (104 na 146) otrzymał prof. **Jerzy Kroh.** Oklaski, kwiaty od elektorów-studentów, życzenia od przewodniczącego komisji.

— Habemus Rectorem Magnificum — ogłasza prof. **Bachman** i oczy mu się śmieją.

Nowy rektor, w płóciennej marynarce z teksasu, energicznie wchodzi na podium i wygłasza krótkie, pierwsze rektorskie przemówienie:

— Dziękuję za zaufanie tym, którzy na mnie głosowali. Uważam także za pożyteczne, że znalazło się grono osób, które miało odmienne zdanie. Będzie to wskazówką dla mnie i moich współpracowników. Będziemy się starali tak pracować, aby pozyskać zaufanie tych osób.

Jeszcze tylko „Gaudeamus", jeszcze długa kolejka śpieszących do rektora z gratulacjami i drzwi sali otwierają się na zewnątrz.

— Cieszę się, że dożyłem tej chwili — mówi do mnie emerytowany profesor. **— Tak się cieszę.**

Mamy rektora! — słychać na korytarzu. — **Mamy rektora!** Wiadomość dociera do klubu.

A tymczasem nowy rektor, z dwoma studentami przy boku, trzymając nieporadnie wiązankę kwiatów, przeniknął się już do swojego Instytutu.

MAŁGORZATA GOLICKA

LISTY DO REDAKCJI

* * *

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Przesyłamy załączoną wzmiankę z prośbą o opublikowanie jej w najbliższym numerze.

Z uwagi na to, iż dotyczy ona przywrócenia dobrego imienia znanemu w swoim czasie na terenie Łodzi działaczowi ruchu młodzieżowego, ś.p Bolesławowi Daberhutowi, pomówionemu niesłusznie o działalność szpiegowską, zmarłemu w 1964 r., ufamy, że nie odmówi Pan miejsca w swym poczytnym piśmie na jej zamieszczenie, za co z góry składamy podziękowanie.

W 1971 roku ukazała się na półkach księgarskich książka pt. „Działalność Abwehry na terenie Polski w latach 1933—1939", w której autor, dr Leszek Gondek, podał m. in. wiadomość, że „ wieloletnim agentem niemieckiego wywiadu wojskowego..." był łodzianin, Bolesław Daberhut. Poruszyła ona do żywego uczestników ruchu młodzieżowego z okresu poprzedzającego wybuch I wojny światowej, jej trwania, wojny polskiej (1918—1920) oraz lat międzywojennych, którego inspiratorem, założycielem i przywódcą był Bolesław Daberhut. Uderzała zwłaszcza okoliczność, że Bolesław Daberhut spędził okres okupacji niemieckiej podczas II wojny w Łodzi, ale nie w tryumfie i zażywając dobrobytu przysługującego agentowi niemieckiemu, lecz zdobywając w ciężkim trudzie środki na najskromniejsze utrzymanie oraz w dodatku ukrywając się przed poszukującym go gestapo. Zwracało również uwagę, że do 1964 roku, w którym zmarł, nie był przez nikogo niepokojony z powodu kompromitującej go rzekomo przeszłości. W 1975 roku o powyższych wątpliwościach został zawiadomiony (za pośrednictwem redakcji Tygodnika W T K) autor książki, co jednak nie skłoniło go do poddania rewizji materiału, na którym oparta była książka. Autor zmienił zdanie dopiero po interwencji wydawcy książki (Wydawnictwa MON), w opublikowanym jednak oświadczeniu (z kwietnia 1980 r. w tygodniku „Za Wolność i Lud") przyznał się tylko do „częściowego"błędu. Spowodowało to dalsza interwencję wydawcy książki, po czym autor opublikował nowe oświadczenie (w dzienniku „Express Ilustrowany" z dn. 19.02.1981 r.) zawierające całkowite odwołanie zarzutu zawartego w książce. Odmienne stanowisko trudno już było autorowi książki podtrzymywać, gdyż w międzyczasie ujawniła się nowa okoliczność, a mianowicie, że gestapo nie mogąc ująć Bolesława Daberhuta, aresztowało jego 18-letniego syna, który w następstwie został zamordowany w obozie koncentracyjnym w Dachau w dniu 16 sierpnia 1941 r.

A oto, dla całości, kilka słów o życiu i działalności Bolesława Daberhuta:

Będąc w Łodzi uczniem I rosyjskiego gimnazjum (które ukończył w 1914 r., razem z Julianem Tuwimem) przewodził tajnej organizacji polskiej młodzieży i redagował, odbijaną na hektografie „gazetkę", przeciwstawiając się tą drogą rusyfikacji polskiej młodzieży. Opozycyjną postawę wobec władz carskich manifestował nawet swoim ubiorem. W godzinach pozaszkolnych ukazywał się publicznie nie w gimnazjalnym mundurku, lecz w szamerowanej czamarze i maciejówce, co nasuwało ciemiężcom niepokojące skojarzenia z powstaniem 1863 roku. W okresie I wojny zorganizował i prowadził drużynę harcerską (jej członków zwano uszczypliwie „daberhuciarzami"), złożoną z młodzieży, która do 1914 roku uczęszczała do szkół rosyjskich. Drużyna ta stanowiła w następstwie podstawowe ogniwo ŁZHP (Łódzkiego Związku Harcerzy Polskich) wchłoniętego później przez ZHP, powstały na gruncie POS (Polskiej Organizacji Skautowej), działającej już przed I wojną światową wśród młodzieży szkół polskich. W 1918 roku Bolesław Daberhut, student Uniwersytetu Warszawskiego, wstąpił do tworzącego się Wojska Polskiego. Po zdemobilizowaniu oddał się całkowicie działalności ideowo-wychowawczej wśród młodzieży akademickiej i szkolnej pod mickiewiczowskim hasłem „o ile polepszycie dusze wasze, o tyle powiększycie granice wasze". Ta działalność Bolesława Daberhuta odbiła się echem w wydanych po II wojnie wspomnieniach jak np. Józef Tadeusz Mieszkowski, „Wspomnienia dziennikarza socjalisty", 1971 r. Książka i Wiedza Stefan Krakowski, „Z dziejów Gimnazjum i Liceum im. M. Kopernika w Łodzi", 1973 r.

Bolesław Mrówczyński — pisarz
Kazimierz Korcelli — pisarz dramaturg
Stanisław Papuziński — emeryt nauczycie
Roman Szymańko — ekonomista
Lucjan Nowosielski — pisarz eseista
Jerzy Chylewski — architekt
Przemysław Papuziński — prawnik
Miron Lewandowski — prawnik

„SZPITAL NA ZAKRĘCIE"

Nawiązując do artykułu red. E. Bryla pt. „Szpital na zakręcie", pragnę zawiadomić, że byłem częstym bywalcem na terenie ZOZ w Głownie, a szczególnie szpitala. W szpitalu tym leczyło się wielu moich przyjaciół i osób z rodziny. Widziałem, jak mimo trudnych warunków, udoskonala się stare budynki i sprowadza aparaturę medyczną. Obecnie jestem przygnębiony tym, że od poł roku nic się nie robi w rozpoczętych wykopach i adaptowanym budynku. Widać tylko, jak na podwórzu snują się nie pracujący robotnicy. Jest mi tym bardziej przykro, że jako emerytowany inżynier budownictwa deklarowałem swoje usługi dla Społecznego Komitetu Budowy Szpitala w Głownie. Obecnie widzę, że na fali odnowy niszczymy wszystko po staremu. Oburzające jest i niesprawiedliwe stanowisko Komitetu Miejskiego PZPR w Głownie.

RYSZARD MEJER
Łódź

* * *

Po przeczytaniu wspomnianego artykułu, a w nim mojej wypowiedzi stwierdzam, iż jest ona tendencyjnie zniekształcona tak co do formy, stylu jak i treści.

Rozmowa moja z red. E. Brylem miała charakter luźnej wymiany kilku zdań, na stojąco, ponieważ szedłem na naradę do dyrektora naczelnego zakładu. W tych kilku zdaniach powiedziałem tylko, że o szczegółach mogę rozmawiać w komitecie partii, gdzie pełnię społeczną funkcję przewodniczącego MKKP.

Na pytanie, co sądzę o dr Minichu, odpowiedziałem, że od ludzi słyszałem że go chwalą. I to wszystko, nic więcej na temat sprawy nie mówiłem. Wymieniłem jeszcze z red E Brylem kilka ogólnych uwag nie związanych ze sprawą, przeprosiłem go i udałem się na naradę.

Tymczasem w artykule przypisano mi słowa, których nie wypowiedziałem. Cytowana rzekomo moja wypowiedź, w treści swej i formie jest obraźliwa tak dla dr Minicha jak i ludzi z jego kręgu. Takim postawieniem sprawy czuję się głęboko dotknięty i znieważony przypisaniem mi słów, których nie wypowiedziałem.

Wobec powyższego proszę Obywatela Redaktora Naczelnego o wzięcie mnie w obronę i sprostowanie tegoż pomówienia dotyczącego mojej osoby.

BRONISŁAW ŚWIDERSKI
przewodniczący MKKP
w Głownie

WSZYSTKIE PYTANIA KŁOPOTLIWE

Dalszy ciąg ze str. 1

porem wydarzeń, które wstrząsnęły naszą organizacją, jak wstrząsnęły przecież całym krajem. Byli tacy, co twierdzili, że ZSMP przeżywa kryzys, z którego już nigdy się nie podźwignie. Byli również inni, którzy utrzymywali, że nic się nie zmieniło, że po chwilowym załamaniu w ZSMP wszystko wróci do starej „normy". A prawda przecież jest taka, że organizacja przeżywała i przeżywa nadal kryzys. Punktem zwrotnym był tu zjazd, który zjednoczył i skonsolidował, który umocnił organizację. Przede wszystkim dlatego, że wytyczył konkretne cele, zmienił usytuowanie organizacji w życiu społeczno-politycznym kraju.

— Nie odpowiadasz jednak na moje pytanie.

— Odpowiadam. Ten zjazd był całkiem inny, a różnicą wcale nie najważniejszą jest brak kosztownej oprawy, brak specjalnych strojów. Najistotniejsze jest, z czym przyszliśmy na ten zjazd, co chcieliśmy na nim załatwić i co załatwiliśmy. Na samym też zjeździe nikt nie podważył sensu naszego tradycyjnego stroju organizacyjnego: białej koszuli i czerwonego krawata. Powiedzieliśmy sobie jednak szczerze i stanowczo: koszule i krawaty nie mogą być już dłużej okazjonalną dekoracją, wykorzystywaną do różnych celów, manipulowaną nieustannie. ZSMP musi być wreszcie partnerem. I to nie w teorii, lecz w praktyce.

— Wiesz dobrze, że nie chodzi mi wcale o strój organizacyjny, lecz o te koszule dostarczane przez „Wólczankę", marynarki i żakiety szyte w „Zecie" — specjalnie dla łódzkiej delegacji na zjazd.

— I co mam ci powiedzieć? Że mi żal? Dzisiaj i tak nikt nie uwierzy, jak powiem, że za te swoje zjazdowe stroje wszyscy delegaci płacili częściowo z własnej kieszeni. Tak jak nikt nie uwierzy, że w 1969 roku na obozie przygotowawczym przed wyjazdem na moskiewską „Komsomołkę" — zrobiliśmy „zrzutkę" wszyscy po 5000 zł, żeby polska ekipa godnie się prezentowała. Tym razem jednak przygotowania do zjazdu zerwały całkiem z fasadowością. Tu nie sztafaż był ważny, bo walka szła o treści, o model, o idee, o być lub nie być. I idzie nadal. Nie żal mi więc tej gali, tej oprawy. Aczkolwiek osobiście uważam, że we wszelkich ruchach społecznych i politycznych, zwłaszcza tam, gdzie działa młodzież, nie wolno lekceważyć czynnika emocjonalnego. Pewna uniformizacja, określone symbole i atrybuty, mają niewątpliwy wpływ na poczucie wspólnoty, jedności, siły. Oczywiście, trzeba zachowywać rozsądne proporcje, aby forma nie przeważała nad treścią. Formy jednak lekceważyć całkiem nie można. Wątpliwości w tej kwestii rozwiać może choćby fakt entuzjastycznego przyjęcia na zjeździe projektu hymnu ZSMP...

— Do tej pory nie był Wam potrzebny?

— Od lat domagaliśmy się własnego hymnu, ale sprawa była nieustannie blokowana. Trudno dziś nawet dojść, przez kogo i po co. Przez pięć lat istnienia Związku nie miał on też własnej deklaracji ideowo-programowej.

— Łódzka organizacja zawiozła własny projekt na zjazd...

— Tak, a projekt ten — z niewielkim retuszem przyjęty został jako deklaracja ZSMP. I to dało nam ogromną satysfakcję. Zwłaszcza że w dokumencie tym zawarliśmy materiał z dyskusji nie tylko ostatnich gorących miesięcy, lecz również z wcześniejszego etapu, m. in. z kampanii przed II Zjazdem ZSMP, a także VIII Zjazdem PZPR. Nie startowaliśmy od zera. Wiele spraw, które obecny zjazd załatwił, nurtowało naszych członków od dawna. Z tym, że wcześniej koncepcje te nie miały żadnej „siły przebicia".

— Na to skarżą się dziś wszyscy, a skądinąd wiemy, że łódzka organizacja ZSMP miała w minionym okresie znakomite oceny. Pewnie dzięki wyjątkowej sprawności w organizowaniu różnych „pokazówek" i „galówek", dzięki sukcesom statystyczno-sprawozdawczym. Liczba członków, ilość akademii i imprez, dynamika wzrostu — takie były kryteria oceny.

— Protestuję przeciwko takim opiniom. Jasne, że wykazywaliśmy dużą sprężystość w kwestiach „dekoracyjnych". Ale przecież taki był czas, takie zapotrzebowanie władz. Ostatecznie, dziennikarze też uprawiali propagandę sukcesu, prawda? Moim zdaniem w ostatnich latach łódzka organizacja zrobiła wiele. Podejmowała stanowczo, wręcz agresywnie wiele istotnych dla młodego pokolenia tematów. Zdziałała tyle, na ile jej pozwolono, na ile mieściła się w ramach nakreślonych dla niej tam, na górze...

— To są ogólniki...

— Weź nasze sprawozdania. Ich lektura nie wywołuje rumieńca wstydu. Ot, taki patronat nad budownictwem mieszkaniowym. Dziś się to opluwa, wytyka błędy i niedociągnięcia, a przecież dzięki patronatowi ZSMP dwa tysiące młodych rodzin zamieszkało w nowych blokach. Bez patronatu kolejka po mieszkania byłaby jeszcze dłuższa.

— Przed Sierpniem łódzka organizacja ZSMP liczyła 74 tysiące osób, a teraz?

— 60 tysięcy członków. Nie sądź jednak, że odbyło się u nas jakieś masowe oddawanie legitymacji. Nic z tych rzeczy. Spośród tych 14 tysięcy, które wypadły z naszych szeregów, większość została skreślona tak w wyniku urealniania ewidencji, jak i w ramach podejmowanych przez poszczególne koła procesów „czyszczenia" szeregów. Zresztą, wiadomo, że w całej statystyce — a więc i w ewidencji członkowskiej wielu organizacji — było wiele fikcji.

— Na owych 60 tysięcy ludzi — ilu należy do ZSMP ze świadomego wyboru, a ilu na skutek własnej bierności, na zasadzie siły bezwładu?

— Ba, za wcześnie na takie oceny. Bezpośrednio po zjeździe przystąpiliśmy do kampanii wyborczej, która udzieli odpowiedzi i na to pytanie. Nie przypadkowo zjazd nie przyjął programu, lecz deklarację pn. „O co walczymy?"

JERZY MARCZEWSKI: „Byli i tacy, co twierdzili, że ZSMP przeżywa kryzys, z którego już się nigdy nie podźwignie".

Foto: R. Łucyszyn

Z tym pytaniem idziemy między ludzi. Niech się sami określą. Kampania powinna dać na wszystkich szczeblach władze, które potrafią realizować program, wokół którego z kolei skupiać się będą członkowie, akceptujący idee i cele, a skłonni do współuczestniczenia w ich urzeczywistnianiu. Ta kampania jest ogromnie ważna, decydująca. Dramat ZSMP nie rozegrał się jeszcze do końca.

— Kiedy więc kolejny akt dramatu zakończy się ostatecznie?

— Naprawdę nie ma tu powodów do ironizowania. Kampania to walka o siłę i jedność ZSMP, to walka o perspektywy Związku. Nie chcemy więc żeby limitował ją czas. Powiedzmy tylko, że kampania zakończy się chyba jesienią.

— Jesienią więc możesz zostać bez pracy?

— Nie sądzę. Gdybym się o to martwił, skorzystałbym z propozycji zmiany pracy jakie zgłaszano ostatnio pod moim adresem. Muszę doprowadzić kampanię do końca. Rzetelnie i sprawnie.

— Liczysz więc na to, że wygrasz wybory?

— Nie, nie liczę. Przeciwnie — nie wiem jeszcze, czy będę kandydował.

— Ile masz lat?

— Trzydzieści dwa.

— Jak na ruch młodzieżowy, jest to wiek przedemerytalny. I co poczniesz, skoro całe życie przepracowałeś w aparacie młodzieżowym?

— Pracowałem również w aparacie partyjnym.

— Na jedno wychodzi. W opinii wielu ludzi praca w aparacie, to żadna praca: słuchawka telefoniczna i palec wskazujący. Czy zdołasz się, jeśli zajdzie taka potrzeba, odnaleźć w innej pracy?

— Chcesz powiedzieć w „prawdziwej" pracy? Cóż, moim zdaniem praca w aparacie nie należy do lekkich i wdzięcznych. Możesz zapytać moją żonę, co o tym sądzi. Marzy, biedna, o tym, żebym jak normalny człowiek, porządny mąż i ojciec, odpracowywał swoich osiem godzin, a potem miał czas dla domu, dla rodziny. Czy się gdzie indziej odnajdę? Mogę ci odpowiedzieć truizmem, że jeśli się ma głowę i dwie ręce... Co mam jeszcze? Dyplom wyższej uczelni. Trochę umiejętności organizacyjnych i dużo doświadczenia w pracy z ludźmi, a do tego sporo jeszcze energii i zapału. Tego ostatniego mi nie brakuje od lat szkolnych...

— Sztampowo: przewodniczący Zarządu Szkolnego ZMS?

— Nie, wiceprzewodniczący. Przewodniczącym — Zarządu Zakładowego ZMS w „Maltexie" — zostałem po ukończeniu szkoły.

— A potem?

— Wiceprzewodniczący ZD ZMS na Górnej, skąd wydelegowany zostałem na roczną szkołę „Komsomołu" w Moskwie. Stamtąd wróciłem na funkcję przewodniczącego na Górną. Później wiceprzewodniczący ZŁ ZMS, a z tej funkcji — zasadnicza służba wojskowa. Potem instruktor w KD PZPR na Górnej, I sekretarz KZ PZPR Zespołu Elektrociepłowni im. Lenina. W 1976 roku propozycja powrotu do ruchu młodzieżowego, gdzie objąłem funkcję wiceprzewodniczącego ZŁ ZSMP.

— Potem Mirek Czesny odszedł na Widzew, a ty zająłeś jego miejsce. Kiedy to było?

— W czerwcu 1980 roku.

— Pechowo. Gdyby ze trzy miesiące później... Wróćmy jednak do twego życiorysu. Gdzie odbyłeś służbę wojskową?

W Grudziądzu.

— Parę słów na ten temat.

— Poszedłem do wojska w trakcie wieczorowych studiów na Uniwersytecie Łódzkim, których nie chciałem przerwać, przez co nawet stawałem do karnego raportu. Tłukłem się co tydzień w sobotę, na przepustkę, żeby po zajęciach, w poniedziałek, o szóstej rano meldować się w jednostce. Studiów nie przerwałem. Co jeszcze? Przewodniczący Zarządu Pułkowego ZSMW. Żonaty, dziecko w drodze.

— Trafiłeś do wojska za karę? W „Pałacyku" rozegrało się w tym czasie parę afer, którym posmaku politycznego skwapliwie nadali niektórzy ludzie w ZŁ ZMS i KŁ PZPR.

— Przesadzasz.

— Tak wszyscy mówili.

— Wolałbym tych dwóch spraw ze sobą nie wiązać.

— Dlaczego? Mógłbyś spokojnie, jak to wielu dziś czyni, zdyskontować doznane krzywdy.

— Krzywdy? Zartujesz! Zresztą, trudno mi dzisiaj obiektywnie ocenić ten okres. Muszę być uczciwy wobec samego siebie. Być może zachowywałem się wówczas, jak smarkacz zupełny, który swoimi nieodpowiedzialnymi — w ocenie starszych kolegów — wystąpieniami czy działaniami zasłużył sobie na surową lekcję życia...

— Mamy jednak czerwiec 1981. Od roku zasiadasz w tym gabinecie. Ile on ma metrów?

— Nie wiem. Sam oceń.

— Czterdzieści? Więcej? Czy nie wydaje ci się dziś stanowczo za duży?

— Zawsze wydawał mi się za duży. Nic tu jednak nie zmienię. Pałacyk jest zabytkowy. Jego wnętrza są pod konserwatorską ochroną, nic tknąć nie wolno.

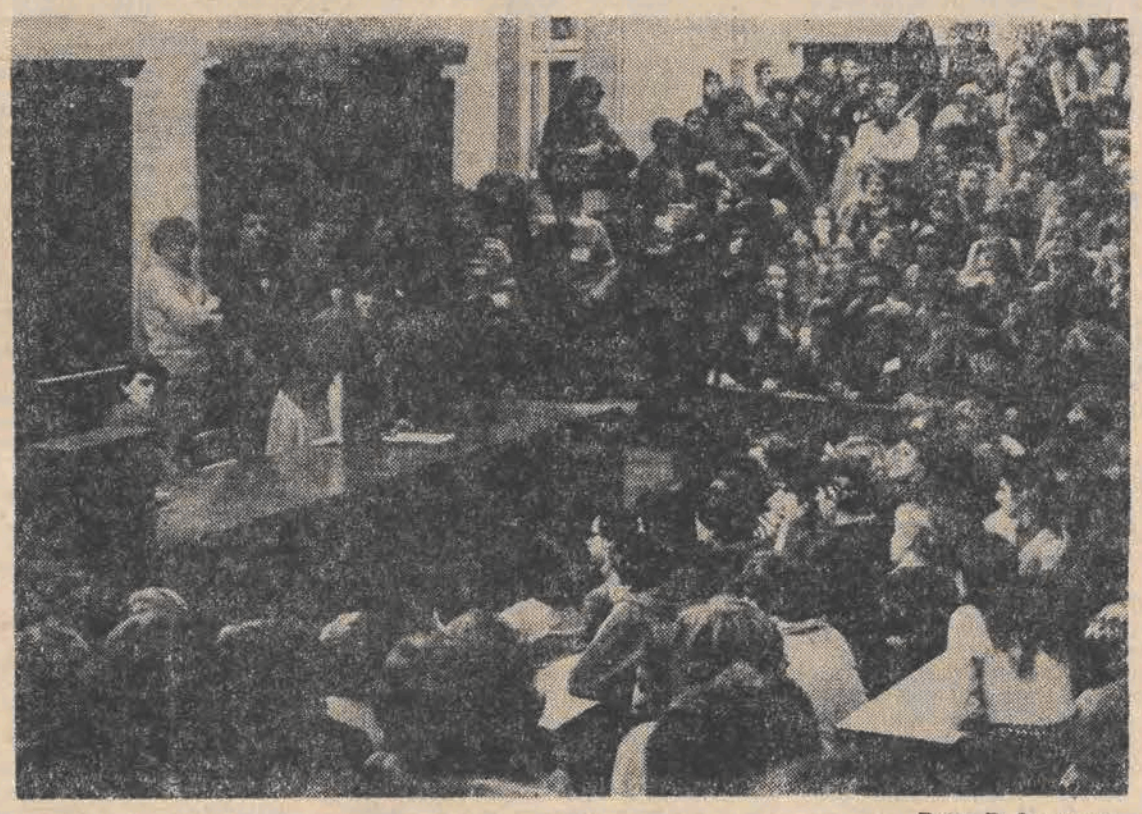

Foto: R. Łucyszyn

— Z gabinetu tego „startowało się" ongiś do kolejnych, wysokich szczebli kariery...

— Dobrze, że powiedziałeś „ongiś"!

— ZSMP było partyjnym „przedszkolem", a jego aparat — „trampoliną" do karier politycznych i ciepłych posadek.

— Mit. Myślę, że gdyby tak dokładnie sprawdzić los działaczy czy aktywu etatowego, to mit prysnąłby! Wcale nie tak duży odsetek przeszedł do pracy partyjnej, co sądzę jest stratą dla partii, której potrzebni są młodzi, sprawdzeni ludzie. Te skoki na trampolinie w ogóle dalekie są od regionalnych mistrzostw, nie mówiąc już o ogólnopolskich. Posadki zaś nie takie znów zaszczytne i ciepłe. Z reguły nasi ludzie, odchodząc stąd, zaczynać muszą od podstaw, bo staż młodzieżowy nie za bardzo się liczy. Słowem, fakty nie potwierdzają tej tezy.

— Dobrze, niech będzie inna teza: „Pałacyk" stał się w ostatnich latach istną kuźnią cynizmu i cwaniactwa. W ideowość jego pracowników można powątpiewać. Można powątpiewać, że przychodzą tu ludzie ideowi, a jeśli nawet przychodzą zaangażowani, to odchodzą stąd wyzuci już całkiem z owej ideowości...

— Skąd takie wnioski?

— Znam pracowników etatowych organizacji, którzy tak dalece „zmądrzeli", że odeszli stąd wprost do sektora.. prywatnego lub ajencyjnego. Znam też przypadki przestępstw dewizowych.

— Zgoda, ale osoby takie i takie przypadki zdarzały się sporadycznie, trudno więc mówić o regule. Zdarzało się na pewno, że z momentem odejścia stąd przed niektórymi otwierała się przepaść na ich drodze życiowej... Zresztą, jest to problem ogólniejszy. W naszym kraju, gdzie była tak kiepska polityka kadrowa i płacowa, dochodziło do rodzenia się różnych frustracji, szczególnie chyba dotkliwych u ludzi młodych, których aspiracje, ba, powszednie życiowe potrzeby — wbrew hasłom i sloganom — dalekie były od zaspokojenia. Nie, nie chcę nikogo usprawiedliwiać, nie chcę też powiedzieć, że zawsze tu pracowali i nadal pracują ludzie bez skazy. Niestety, również i „Pałacyk" po części dotknęła negatywna selekcja kadr. Trudno nam ze względu na różne bariery — głównie materialne — skupiać tu najlepszych z najlepszych. Można dla idei — powiadają — stracić kilkaset złotych, ale nie dwa czy trzy tysiące, jak w przypadku młodych ludzi, zatrudnionych w przemyśle. A przecież są to najczęściej ludzie obarczeni już rodzinami... Stwierdzam jednak z całą stanowczością, że znakomita większość naszego aparatu etatowego, to ofiarni i oddani działacze, którzy nie liczą godzin przepracowanych na rzecz związku i jego członków.

— Czymże jest więc dzisiejszy „Pałacyk"? Skupiskiem — kolejnym zresztą — młodych gniewnych ludzi, którzy obwieszczają publicznie votum nieufności wobec władz miasta? Na pochyłe drzewo każda dziś koza skacze. Skoczyliście i wy — uchwałą Plenum ZŁ ZSMP, grożącą prezydentowi Łodzi akcjami protestacyjnymi.

— Nie przeczę, że uchwała była ostra, ale z tym votum nieufności nie przesadzajmy. Po prostu Zarząd Łódzki ZSMP przypomniał władzom miasta, że zobowiązaliśmy się nawzajem do partnerskiego traktowania, do ścisłej roboczej współpracy w rozwiązywaniu najistotniejszych dla młodzieży lokalnych problemów. Na listopadowym kolegium prezydenckim uzgodniliśmy pakiet spraw, a ostatnio przypomnieliśmy, że nie wystarczy uzgodnić, lecz trzeba realizować.

— Akcja protestacyjna wyniknąć miała głównie ze sprawy niedoborów mleka na łódzkim rynku.

— Tak, ze skandalicznych zaniedbań, za sprawą których nasze dzieci — a ponoć wszystkie dzieci są nasze — nie mają zagwarantowanego nawet tego podstawowego składnika pożywienia, jakim jest mleko.

— Akcji jednak nie będzie, bo prezydent wydał zarządzenie?

— I dobrze, że nie doszło do protestów. Generalnie jesteśmy przeciwnikami uciekania się do metod skrajnych.

— Pamiętam inne zarządzenie naszego prezydenta, na mocy którego miały być zlikwidowane kolejki...

— Wiem, że zarządzenie mleka nie zastąpi. Jeśli dzieci nadal nie będą go miały, sięgniemy do ostatecznych form nacisku. Tak w tej, jak i innych sprawach, których załatwienie leży w gestii władz lokalnych.

— A więc akcje protestacyjne? W jakiej formie?

— Nie powiem.

— Tajemnica organizacyjna?

— Po prostu nie mamy jeszcze do końca wypracowanych koncepcji. I my uczymy się działania w nowej rzeczywistości.

— A zatem odnowione ZSMP jawi nam się jako organizacja bojowa, organizacja walcząca?

— Taki zawsze starał się być nasz Związek.

— Tyle że mu to nie zawsze wychodziło. A może i teraz więcej będzie dawał dymu, niż ognia?

— Zobaczymy.

— Ano, zobaczymy!

Rozmawiał: JACEK INDELAK

POZNAŃ 1956
OBRAZ WYDARZEŃ

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Dla zrozumienia społeczno-ekonomicznych źródeł „czarnego czwartku" 28 czerwca 1956 r. konieczne jest sięgnięcie wstecz, przynajmniej do r. 1953. Wówczas to było już wiadomo, że realizacja planu 6-letniego, który miał przekształcić kraj z zacofanego w wysoko rozwinięty, nie przyniesie zapowiadanej poprawy warunków życia. Wśród przyczyn można wymienić nadmierne inwestycje w przemyśle ciężkim kosztem rolnictwa i produkcji żywności, a także niską wydajność pracy — na skutek złej jej organizacji i przestarzałych maszyn. Wydajność próbowano podwyższać przez rozwijanie pracy na akord i różnych, chwytnych propagandowo form współzawodnictwa, nagradzania przodowników pracy itp. Gdy to okazało się nieskuteczne, zaczęto podnosić normy pracy, nie konsultując się jednak z załogami zakładów. Spróbujmy prześledzić krótko rozwój konfliktu, który doprowadził w 3 lata później do wyjścia na ulice robotników **Zakładów Przemysłu Metalowego „H. Cegielski"** w Poznaniu (w I poł. lat 50 zwanych Zakładami im. Józefa Stalina — Poznań, w skrócie ZISPO).

1953 — lipiec. Pierwsze rozdźwięki między załogą ZISPO a dyrekcją. W wyniku konferencji nt. uprawniania pracy, zaczyna zwiększać się normy. Robotnicy, którzy przedtem je przekraczali, nie są w stanie wykonać nowych, wobec czego ich zarobki obniżają się. Pierwsze protesty.

1954 — W całym kraju wprowadza się nowe zarządzenia podatkowe, które przewidują znaczną progresję podatków dla wyżej zarabiających, ale jednocześnie możliwość przyznania 30 proc. ulgi przodownikom pracy i robotnikom akordowym. Dyrekcja ZISPO nie powiadamia o tym załogi i nie uwzględnia owej zniżki przy obliczaniu zarobków. O fakcie tym robotnicy dowiedzą się dopiero w listopadzie 1955 r.

Wrzesień — milcząca demonstracja załogi fabryki wagonów (W-3, pracującej w większości w akordzie i mającej najniższe średnie zarobki).

1955 — październik. Pierwsze alarmujące pisma robotników ZISPO do władz pozostają bez odpowiedzi. Wysłana do Warszawy delegacja przywozi jednak obietnice załatwienia głównych postulatów. Dotyczą one: norm czasu pracy, likwidacji progresji podatkowej, samowolnego zwalniania z pracy niewygodnych dla dyrekcji aktywistów, spraw BHP, nierytmiczności dostaw i kooperacji. Przyrzeczenia te nie będą dotrzymane, a dialog załogi ZISPO z władzą potrwa prawie rok.

W listopadzie wychodzi na jaw niezgodna z przepisami praktyka obliczania podatku. 30-procentowa zniżka dla robotników przekraczających 160 proc. normy nie była stosowana. 5074 robotników ZISPO straciło ponad 11 mln zł! Szczególnie ucierpieli pracownicy akordowi W-3. Żądają zwrotu sumy nadpłaconych podatków. Należność odpowiada przeciętnie dwumiesięcznej pensji.

1956 — Na ten rok ZISPO otrzymują plan przewidujący wzrost produkcji globalnej o 4,4 proc., a towarowej o 5,2 w porównaniu z 1955 r. Warunkiem realizacji planu jest zwiększenie wydajności pracy o 8,5 proc. Dyrekcja zaostrza normy, co sprzyja pogorszeniu jakości, trwa „gonitwa nadliczbówek". Spadają płace — o 3,5 do 8,9 proc. w stosunku do 1955 r. Obniżka obejmuje aż 4.646 robotników (75 proc. załogi pracującej w akordzie). Na W-3 np. zarobki są teraz niższe o 200—450 zł miesięcznie. Jednocześnie w marcu w dyskusji wywołanej XX Zjazdem KPZR (luty 56) i przygotowywanym planem 5-letnim załoga składa 4700 wniosków, które pozostają bez echa.

Kwiecień — narasta konflikt na tle rozdziału premii. Otrzymują je — dyrekcja i kierownictwa wydziałów.

Maj — lista postulatów w rozmowach z ministerstwem i władzami związków zawodowych powiększa się o nie uregulowane sprawy płacowe i socjalne (np. dodatków za pracę ciężką i szkodliwą dla zdrowia, wydłużenia urlopów). Coraz dotkliwsze są też kłopoty materiałowe. Np. fabryka parowozów ma w planie czerwca 15 pojazdów, a materiału na 2. Po przestojach niektóre wydziały pracują po 12—16 g. na dobę. Część ludzi odmawia pracy. Na jednym z zebrań po raz pierwszy pada groźba wyjścia na ulicę. **Czerwcowe** masówki mają coraz burzliwszy charakter. Robotnicy żądają zwrotu niesłusznie zabranego podatku, zniesienia progresji podatkowej, poprawy rytmiczności i jakości zaopatrzenia. Formułują też wnioski ogólniejsze: obniżki cen na towary pierwszej potrzeby, zniesienia cła na leki z zagranicy, powiększenia puli mieszkań w ZISPO (gdzie w 1956 r. na 2,5 tys. wniosków rozdzielono 29 mieszkań!).

Termin realizacji kolejnych obietnic Min. Przem. Maszyn. również nie zostaje dotrzymany. Zapada decyzja o wysłaniu — już po raz czwarty — delegacji do stolicy. Do żądań pracowników ZISPO przyłączają się inne zakłady, m.in. Naprawcze Taboru Kolejowego, komunikacji miejskiej, Pomet, gdzie problemy są podobne.

25 czerwca do Warszawy wyjeżdża 28 osób, delegacja złożona wyłącznie z działaczy związkowych i partyjnych oraz kierownictwa ZISPO. Prowadzi rozmowy w Min. Przem. Masz. i Zw. Zaw. Metal. Władze zobowiązują się, że w ciągu 3 miesięcy zwrócony będzie niesłusznie pobrany podatek (za 3 lata wstecz), wypłacone będą premie, wprowadzi się zmiany w rozliczeniu płac akordowych zgodnie z postulatami załogi.

27 czerwca. Wyjaśnienia delegatów po powrocie spotkają się z nieprzychylnym przyjęciem. Wątpliwości budzi zwłaszcza zmiana systemu wynagrodzeń za akord. Załoga domaga się przyjazdu ministra. Gdy przybywa R. Fidelski, nie umie przedstawić korzyści dla robotników z zapowiadanych zmian, odwołuje wcześniejsze obietnice; przerywają mu okrzyki i gwizdy. Rozmowy są kontynuowane, ale tylko z częścią delegatów. Wzburzeni robotnicy postanawiają proklamować strajk następnego dnia, jeśli nie będą zaproszeni do współpracy przy obliczaniu zarobków wg nowych zasad. Tego samego dnia dochodzi do strajku w poznańskich Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego. Główne żądania są podobne: podwyżki zarobków i obniżki cen. Wśród mówców aktywny jest młody robotnik Jan Rutkowski, którego później zatrzyma UB w Szamotułach. Będzie to miało wpływ na rozwój wypadków następnego dnia.

Po południu — posiedzenie Egzekutywy KW PZPR w Poznaniu, na którym ocenia się sytuację w ZISPO — po masówkach — za wyjaśnioną. Możliwość wybuchu strajku nie jest brana pod uwagę.

CZWARTEK 28 CZERWCA

Rano w **ZISPO** robotnicy przebierają się w kombinezony, ale nie podejmują pracy, czekając na wyniki wczorajszych rozmów z ministrem. Do zebranych w hali suwnicowej przemawia **E. Taszer** — przewodn. RZ. Zapewnia jedynie, że rozmowy będą kontynuowane. W tej sytuacji załoga wydziału wagonów postanawia wyjść na ulice. Na odgłos syreny fabrycznej o 6.30 formuje się pochód (ok. 80 proc. załogi), który zdejmuje z bramy tablicę z nazwą „Zakłady im. Stalina" i wyrusza pod Miejską Radę Narodową przy ul. Armii Czerwonej (w Zamku). Drogę zajeżdża mu I sekretarz KW PZPR **Leon Stasiak.** Ludzie odsuwają go, mówiąc **„Towarzyszu, za późno".** O 7.15 przyłączają się załogi ZNTK i MPK (po pobiciu i oblaniu oliwą dyrektora), a także **Wojskowych Zakładów Motoryzacyjnych.** W drodze i na pl. Stalina pod MRN okrzyki, hasła, transparenty („Żądamy obniżki cen", „chleba i wolności", „Chcemy jeść" i in.), śpiewy (hymn, rota, pieśni religijne). Płoną legitymacje partyjne. Goście zagraniczni — uczestnicy XXV Międzynarodowych Targów Poznańskich fotografują i filmują tłum, który ok. 9.00 liczy już ok. 100 tys.

Na ratuszu biała flaga. Rozmowy z przewodniczącym MRN **F. Frąckowiakiem.** Wobec jego braku kompetencji w kwestiach postulatów ogólnospołecznych, manifestanci żądają przybycia I sekretarza KC PZPR **Edwarda Ochaba**, lub premiera **Józefa Cyrankiewicza.** Na razie przemawia jedyny pozostały w KW sekretarz **Wincenty Kraśko.** Obiecuje przekazać władzom żądania. W pewnej chwili ktoś z tłumu żąda wypuszczenia aresztowanego poprzedniego dnia robotnika **Rutkowskiego. W. Kraśko,** nie znający sprawy, odpowiada, że nikt nie został zatrzymany. Pracownicy **ZNTK** głośno protestują. Wieść o zatrzymaniu **Rutkowskiego** przekształca się szybko w tłumie w pogłoskę o aresztowaniu delegacji ZISPO w Warszawie. Nie pomagają wyjaśnienia obecnych na wiecu członków delegacji. Próbujący powtórnie przemówić sekretarz KW z trudem unika pobicia. Manifestanci wdzierają się do KW, wywieszają hasła („Wolność", „Chleba", „Budynek do wynajęcia", „Żądamy wolnej Polski"). Mimo powtarzanych z opanowanego przez demonstrantów radiowozu wezwań do spokojnego oczekiwania na przybycie delegacji władz centralnych, następuje dewastacja budynku KW i pierwsze pobicia. Z polecenia I sekretarza KW na plac wjeżdżają ciężarówki z milicjantami, którzy jednak zostają zmuszeni do opuszczenia wozów, a ich koledzy — również pobliskiej komendy. Jeszcze obowiązuje zakaz użycia broni.

Z radiowozu płyną kolejne wezwania — nigdy potem nie rozpoznanego nauczyciela: tym razem jednak do obalenia ustroju i rządu, do rozbicia więzienia. Znaczna część tłumu udaje się na ul. Młyńską, gdzie opanowuje więzienie. Strażnicy, którym zakazano strzelania, zostają rozbrojeni. Grabież i niszczenie pomieszczeń; do zajść włączają się uwolnieni więźniowie. Padają pierwsze strzały z tłumu.

Kolejne spustoszenia w opuszczonych gmachach sądu i prokuratury. Na ulicę lecą akta. Płoną. Podobnie z budynku ZUS przy ul. Dąbrowskiego demonstranci zrzucają urządzenia zagłuszające — w ich mniemaniu — zagraniczne radiostacje. Tłum wdziera się również do gmachu Komitetu Miejskiego PZPR.

Ok. 10.00 rozchodzi się plotka, że delegacja ZISPO została uwięziona w gmachu Wojewódzkiego Urzędu ds. Bezpieczeństwa Publicznego przy ul. Kochanowskiego. Ok. 10.15 pojawia się tam pierwsza, 500-osobowa grupa demonstrantów. Większość to tramwajarze, młodzież i dzieci, które maszerują na czele z biało-czerwonymi chorągiewkami i hasłami (np. „Żądamy religii w szkole"), zachęcane przez nieznanego nauczyciela.

Delegacja manifestantów usiłuje sforsować drzwi gmachu. Z WUBP lecą na tłum strumienie wody z 4 hydrantów w budynku. Ludzie cofają się, tworzą półkole naprzeciw wejścia, obrzucają gmach kamieniami z bruku. Na II piętrze WUBP — jak twierdzą świadkowie — znajduje się grupa operacyjna UB przybyła z Warszawy na czas targów. Gdy woda nie skutkuje, a ludzie nie ustępują — mimo zakazu strzelania — ok. 10.45 funkcjonariusze oddają z II piętra pierwsze strzały do tłumu. Są ranni, m.in. 9- i 12-letni chłopcy i tramwajarka, która trzymała flagę. Upadający sztandar podnosi i rozwija 13-letni **Romek Strzałkowski.** Niedługo potem ginie w niewyjaśnionych do końca okolicznościach na terenie garaży WUBP.

Ok. 11.30 padają pierwsze kule ze strony demonstrantów, których kilkutysięczna rzesza nadciągnęła spod więzienia.

Od 10.00 w Izbie Rzemieślniczej aktyw partyjny i administracyjny czeka na odpowiedź premiera, któremu zaproponowano przyjazd do Poznania i przemówienie do demonstrantów. Ok. 11.30 **Cyrankiewicz** odpowiada: **„Przed godziną — tak, teraz — nie, teraz głos ma wojsko"...** Zdaniem władzy w Warszawie, rozbicie więzienia i atak na WUBP uniemożliwiają już zastosowanie środków politycznych. Premier przybędzie dopiero następnego dnia. Tymczasem na pl. Stalina przed Ratuszem — po usłyszeniu gęstniejącej strzelaniny — większość demonstrantów, straciwszy nadzieję na spotkanie z władzami, rozchodzi się do domów i zakładów pracy, w tym i do ZISPO.

Ale na ul. Kochanowskiego trwa oblężenie WUBP. Zdemolowany zostaje lokal KZ PZPR przy WUBP. Kilkunastoletni chłopcy obrzucają budynek butelkami i benzyną. Strzały padają z ok. 20 cywilnych stanowisk strzeleckich. Wieść o stratach wśród kobiet i dzieci ściąga w ten rejon coraz więcej ludzi. Czynny udział w atakach — ponawianych z coraz większą determinacją — bierze ok. 200 osób, w tym 40—50 z bronią w ręku. Zniszczone zostają również 24 mieszkania pracowników UB, mieszczące się w pobliżu.

Ok. 12.00 rozkaz interwencji (ale bez użycia broni) otrzymują trzy czołgi i dwa spieszone plutony pancerne Oficerskiej Szkoły Wojsk Pancernych i Zmechanizowanych. W rejonie ulic Dąbrowskiego i Kochanowskiego rozbraja je tłum, a dwa czołgi zostają nawet przejściowo opanowane przez demonstrantów. W więzieniu na Młyńskiej dochodzi do rozbicia zbrojowni i ok. 13 nasila się ostrzał WUBP. Z ciągnika i przyczep z cementem powstaje pierwsza barykada. Gdy interwencja czołgów OSWPiZ nie przynosi skutków, ok. 13.30 do akcji wkraczają z rozkazem strzelania liczące ok. 2 tys. osób oddziały IV Śląskiego Okręgu Wojskowego, odbywające manewry w pobliżu Poznania (żołnierzom wmawia się — podobnie jak 14 lat później, w Trójmieście — że wybuchły rozruchy proniemieckie (!).

Zdarzają się jednak przypadki odmowy wykonania rozkazu strzelania do manifestantów, rozbrojenia żołnierzy, dobrowolnego oddawania broni (którą często od razu się niszczy). Podobno grupa żołnierzy przyłącza się do atakujących gmach WUBP. Jeden z czołgów z siedzącym w wieży żołnierzem trzymającym flagę, przejeżdża demonstracyjnie przed frontem gmachu WUBP; żołnierz zostaje ranny.

Ok. 14.00 wokół gmachu WUBP koncentruje się 7 czołgów i kilka wozów opancerzonych. Manifestanci obrzucają je butelkami z benzyną, 3 z nich płoną. Część transporterów, a także jeden z czołgów opanowują cywile, którzy — za zasłoną z palących się beczek wypełnionych smołą — podjeżdżają pod gmach WUBP i strzelają seriami z broni maszynowej. Strzały ranią demonstrantów. Rannych i zabitych — od chwili wkroczenia czołgów i samolotów — jest coraz więcej również na innych ulicach, w pobliżu szpitali im. Raszei i im. Strusia. W wyniku akcji wojska oblężenie WUBP zostaje przerwane dopiero ok. 17.30; pogotowie zabiera zabitych i rannych. Nadal jednak ok. 50 punktów ogniowych jest w rękach ludności. Powstają barykady z przewróconych wozów tramwajowych. W efekcie napadów na studia wojskowe poznańskich uczelni, rozbrojenia szeregu posterunków i komisariatów oraz strażników obozu pracy w Mrowinie, rośnie liczba broni palnej, którą dostarcza się ostrzeliwującym gmach WUBP. Ogółem demonstranci posiadali tego dnia 245 jednostek broni palnej, (do użytku nadawały się 173), nie licząc granatów, tzw. obrzynków, broni myśliwskiej i broni przechowywanej od czasów okupacji.

Ok. 20.00 w nowej siedzibie sztabu przy ul. Kościuszki, dokąd przeniesiono go z lotniska na Ławicy, trwa narada dowódców wojsk. Gen. **Stanisław Popławski** wydaje rozkaz. **„Użyć całej broni piechoty i broni pancernej, a w razie potrzeby i artylerii"** ...Siły porządkowe zostają wzmocnione jednostkami MO z Poznania, Piły i obozu ćwiczebnego w Obornikach. Wieczorem liczba milicjantów sięga 2300. Ścigają oni (używając psów), zatrzymują i biją osoby mające broń i próbujące grabieży. Zatrzymanych przewozi się na lotnisko, do zaimprowizowanego obozu. Mimo tych działań, wieczorem nasilają się przypadki rozbijania i grabieży sklepów, instytucji oraz mieszkań prywatnych, inspirowane m.in. przez więźniów. Uszczerbku nie ponoszą jednak banki, pawilony MTP i PEDETE.

O 19.30 PAP podaje komunikat o **„poważnych zaburzeniach"** w Poznaniu. W mieście krążą ulotki z odezwą Komitetu Frontu Narodowego i WRZZ. O 20.30 Polskie Radio w Poznaniu nadaje komunikat MRN, który wprowadza godzinę milicyjną od 21 do 4. Wzywa też do podjęcia pracy i zapowiada przybycie delegacji rządowej. Mimo dwukrotnego powtórzenia, komunikat ten nie wpływa na zmniejszenie liczby strzałów i cywilów na ulicach. Wspomniane działania są jedynymi środkami politycznymi, jakie podejmują władze.

Następuje za to zbrojna pacyfikacja miasta. Nowe oddziały, które wkraczają wieczorem, wzmacniają ochronę obiektów wojskowych (w obrębie magazynów zakłada się nawet miny) i zakładów pracy. Cywile ostrzeliwują i obrzucają butelkami z benzyną wojsko, które reaguje strzałami z karabinów maszynowych. W wyniku koncentracji wojska ok. 3 przejściowo wygasa ostrzał WUBP. Milicja i żołnierze poszukują i zatrzymują strzelców. O piątej funkcjonariusze WUBP wychodzą z gmachu.

PIĄTEK 29 CZERWCA

Mimo patroli na ulicach, nadal niepokój. O świcie wznawia się ostrzał gmachu WUBP, a także — z ok. 20 zakonspirowanych stanowisk snajperskich — innych budynków (w tym KW PZPR). Akcja likwidacji pojedynczych stanowisk trwa do ok. 17. W południe pod WUBP raz jeszcze podchodzi kilkutysięczny tłum. Rozprasza się po zauważeniu czołgów.

Do pracy zgłasza się nieco ponad połowa zatrudnionych. W dużych zakładach absencja sięga 80 proc. W ZISPO pracują niektóre wydziały. Nie kursuje komunikacja miejska. Wznowienie ruchu pracownicy MPK uzależniają od wyjazdu czołgów. Po południu czołgi zaczynają opuszczać miasto, ale nadal otoczone jest ono koncentrycznym pierścieniem wojsk. M.in. czołgi udaremniają próbę pochodu ze Swarzędza do Poznania.

W gazetach ukazują się **„Komunikat o wypadkach w Poznaniu" PAP** oraz apel władz miasta **„do mieszkańców".** Po raz pierwszy pojawiają się — powtarzane później wielokrotnie — demagogiczne pytania: **„W czyim interesie leżała ta demonstracja? Komu to było potrzebne?",** a także określenia, którymi próbowano zasłonić prawdziwy sens wydarzeń, zrzucając winę na **„agentów wroga", „agenturę imperialistyczną i reakcyjne podziemie",** które **„wykorzystały trudności ekonomiczne i bolączki w niektórych zakładach Poznania dla prowokowania wystąpień przeciwko władzy ludowej",** dla **„szeroko zakrojonej i starannie przygotowanej akcji prowokacyjno-dywersyjnej".** W podobnym duchu sformułowany jest list KC PZPR do organizacji partyjnych wszystkich szczebli, a także radiowe przemówienie **J. Cyrankiewicza.** Premier wskazuje na nieprzypadkowość wyboru Poznania w okresie Targów jako **„terenu zbrodniczej prowokacji",** której celem miało być **„przeszkodzenie postępującemu procesowi demokratyzacji naszego życia".** Zwrot o **„odrąbywaniu rąk"** tym, którzy chcą je podnieść przeciw władzy ludowej, wywołuje powszechne społeczne oburzenie. Ale premier sygnalizuje również wolę opracowania przez KC PZPR i rząd takiego programu działania, które pozwoli na **„stopniowe podnoszenie stopy życiowej mas pracujących"**

SOBOTA 30 CZERWCA

Jeszcze w nocy miasto opuszcza część wojska. Trwają poszukiwania uczestników zajść i aresztowania w domach. Zdarzają się przypadki ostrzelania niektórych budynków. W obawie przed aresztowaniami oddalają się z Poznania uzbrojone grupy młodzieży. Na Cytadeli uroczyste pogrzeby funkcjonariuszy UB, żołnierzy i paru osób cywilnych, z udziałem premiera i sekretarza KC **Edwarda Gierka.** Pogrzeby innych ofiar, tego dnia i w następne, przebiegają bardziej dyskretnie, w asyście MO i UB; uczestniczą w nich najbliższe rodziny. Pojawiają się pogłoski o chowaniu ciał poza rejestracją w zbiorowych grobach.

Normalnie pracują wszystkie zakłady i urzędy, choć nadal utrzymuje się napięcie. Pogłoski o planowanych strajkach w ZISPO. Przywraca się ruch tramwajowy. W ciągu kolejnych dni władze starają się szybko — i na ogół skutecznie — załatwiać postulaty, głównie socjalno-bytowe. Od 3 lipca rozpoczyna się w ZISPO wypłata nieprawnie potrąconego podatku. Duża część załogi (w tym z W-3) otrzymuje wyższe uposażenia. W Poznaniu i województwie, a także w całym kraju organizuje się otwarte zebrania POP poświęcone omówieniu zajść. Celem tych spotkań jest przede wszystkim potępienie sprawców. Podejmuje się wiele rezolucji, z których część drukuje prasa. Przewija się w nich oficjalna, propagandowa teza o agenturalnym i planowym charakterze wypadków poznańskich. Prawdziwe odczucia ludzi są jednak inne. Np. na ok. 2 tys. listów, które w związku z wypadkami wpłynęły do Polskiego Radia, tylko 10 proc. potępia inicjatorów i uczestników zajść, a 80 proc. zawiera zrozumienie motywów protestu, popiera robotników. Wiele rezolucji **„przeciw prowokatorom antypaństwowych wystąpień"** podpisują jedynie zakładowe władze.

BILANS WYPADKÓW

Z 51 podanych początkowo przez szpitale, liczba ofiar śmiertelnych urosła do 75 (w tym kilka określonych jako „warunkowe" — z braku rozpoznania lekarskiego w aktach i parę niezidentyfikowanych). W tej liczbie jest 3 funkcjonariuszy UB i 4 żołnierzy. Imienna lista ofiar została określona dopiero po 24 latach na podstawie kwerend w szpitalach i na cmentarzach, przez dr inż. **A. Ziemkowskiego.** Lista ta z konieczności zawiera różne nieścisłości, trudno ją też uznać za ostateczną. Być może ogłoszenie jej w okresie 25 rocznicy wypadków przyczyni się do wyjaśnienia wielu szczegółów. Warto podkreślić, że większość zabitych to ofiary przypadkowe i w wieku 13—21 lat.

W czasie wypadków udzielono w przychodniach i szpitalach pomocy lekarskiej 575 osobom (łącznie z drobną pomocą ambulatoryjną — ok. 900).

W wyniku trwającej do 10 lipca akcji zatrzymano ogółem ponad 700 osób, z czego znaczną część zwolniono po przesłuchaniach. Wpłynęło 48 zażaleń na funkcjonariuszy MO z powodu bicia w trakcie zatrzymań, praktykowanego jawnie zwłaszcza do 3 lipca. Wobec 10 milicjantów prokuratura wszczęła postępowanie śledcze, 4 objęto aresztem tymczasowym, odwołano komendantów MO w 3 dzielnicach Poznania. Atmosfera wokół milicji (budowały ją również pretensje władz o dopuszczenie do rozbrojenia posterunków) spowodowała, że coraz częściej milicjanci wstrzymywali się z interwencją i użyciem środków fizycznych. Częste były przypadki uniemożliwiania interwencji, choć chuligański czy kryminalny charakter wykroczeń był widoczny. W lipcu i sierpniu 1956 r. 30 funkcjonariuszy MO złożyło podania o zwolnienie ze służby. Było to zjawisko nie notowane dotąd w takiej skali.

W wyniku śledztw wytoczono akty oskarżenia 58 zatrzymanym w czasie wypadków, choć nie dały one dowodów powiązań z wrogimi imperialistycznymi ośrodkami, bądź też istnienia dywersyjnych grup spiskowych. Seria pokazowych procesów rozpoczęła się w końcu września od procesu trzech oskarżonych o śmiertelne pobicie kpr. LWP Z. Izdebnego (wyroki 4- 4,5 lat więzienia). Proces „dziewięciu" oskarżonych o udział w napadzie na gmach WUBP przyniósł kary bardziej zróżnicowane, najwyższa wynosiła 8 lat (dwóch uniewinniono). Wyroki w rozprawie „dziesięciu" (czyli „grupy Kulasa") oskarżonych m.in. o udział w napadach na składy broni, podobnie jak w sprawach o grabieże, wyprzedziło październikowe VIII Plenum KC PZPR. Akty oskarżenia objęto rewizją śledztwa umorzono, wypuszczono aresztantów (z wyjątkiem zabójców Z. Izdebnego). Wspomniane procesy wywołały wiele wątpliwości, także w sferach prawniczych. Zdaniem jednego z obrońców (których szereg odważnych wystąpień budziło szacunek obserwatorów), podzielono robotniczą młodzież w taki sposób, **„że zawsze na pierwszym miejscu stał tak zwany reprezentacyjny chuligan, on swój cień rzucał na oskarżonych".**

Propagandowa teza o istnieniu **„dywersyjnych bojówek"** upadła. Niedawno ujawnione fakty mówią jednak o działaniu nielicznej, lecz zorganizowanej poza oficjalnymi strukturami związkowymi, grupy osób. Tworzyła ona jakby konspiracyjny związek, mający wpływ na postawę załogi W-3 w ZISPO, na kontakty między wydziałami i kilkoma zakładami przemysłowymi Poznania. Kierowała ona planami użycia różnych form protestacyjnego nacisku: od milczących demonstracji przez masówki, „postoje", solidarnościowy strajk powszechny w Poznaniu, do wyjścia na ulice podczas MTP, co uniemożliwiało władzom stworzenie blokady

Dalszy ciąg na str. 12

JACEK INDELAK

ŁÓDZKI EPIZOD JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

Wzrastająca nieustannie aktywność społeczna rodzi różnorodne inicjatywy, znajdujące nierzadko odbicie w rozlicznych rezolucjach i apelach. Oto jeden z nich, wystosowany do mieszkańców Łodzi:

„W czerwcu 1899 roku przybył z Wilna do Łodzi tow. „Wiktor" — Józef Piłsudski. Zamieszkał przy ul. Wschodniej 19 na I-szym piętrze, aby tutaj poświęcić się redagowaniu i drukowaniu „Robotnika" — organu tajnej Polskiej Partii Socjalistycznej.

Na nim wychowali się polscy bojowcy 1905 roku i działacze socjalistyczni okresu międzywojennego.

Józef Piłsudski nie mieszkał w Łodzi długo. Dnia 21 lutego 1900 roku został aresztowany przy drukowaniu 36-go numeru „Robotnika". Po kilku dniach znalazł się w osławionym X-tym Pawilonie Cytadeli Warszawskiej, tej samej, z której w ostatnią drogę życia wyprowadzono Romualda Traugutta i jego towarzyszy.

Ten łódzki epizod w życiu Marszałka Józefa Piłsudskiego upamiętniała przed wojną tablica nad bramą czynszówki przy ul. Wschodniej 19".

Autorzy apelu wnoszą o wyłonienie społecznego komitetu, którego celem będzie ufundowanie nowej tablicy i wmurowanie jej na miejscu poprzedniej.

Pomijając na razie opinię na temat zasadności samej inicjatywy, pozwolę sobie zwrócić uwagę na nieścisłości zawarte w tym krótkim dokumencie.

Nieprawdą jest, że *Józef Piłsudski* mieszkał w Łodzi od czerwca 1899 roku do lutego roku 1900.

„Robotnik" — organ Polskiej Partii Socjalistycznej wychodził nielegalnie od 12 lipca 1894 roku. Pierwszych sześć numerów drukowano w Lipniszkach w powiecie oszmiańskim, potem zaś tajna drukarnia przeniesiona została do Wilna, gdzie funkcjonowała aż do końca 1898 roku, kiedy to przywieziono ją — via Kraków — do Łodzi. W Łodzi podobno — od 4 czerwca do 31 grudnia 1899 roku — ukazały się numery 31—35 *„Robotnika"*, chociaż dokumenty tylko w przypadku numerów 33, 34 i 35 oraz wydanego w styczniu 1900 *„Kurierka Robotnika"* stwierdzają niezbicie, że miejscem ich druku była Łódź. Druk numeru 36 *„Robotnika"* nie został ukończony. 9 stron tego numeru i 4 strony dodatku odbite już w całym nakładzie skonfiskowali carscy żandarmi, którzy w nocy z 21 na 22 lutego 1900 roku aresztowali lokatorów mieszkania nr 4 przy ul. Wschodniej 19 — państwa *„Dąbrowskich"*, czyli *Józefa Piłsudskiego* i jego żonę, *Marię z Koplewskich*.

Z tego właśnie diariusza — podawanego przez większość przedwojennych źródeł — wynika błąd autorów apelu. „Robotnik" rzeczywiście zaczął wychodzić w Łodzi prawdopodobnie już w czerwcu, sam jednak *Piłsudski* przeniósł się tu z Wilna dopiero w październiku 1899 roku.

Ustalił to ponad wszelką wątpliwość w okresie międzywojennym *Eugeniusz Ajnenkiel* na podstawie nie publikowanej korespondencji *Piłsudskiego*. Listy z 9 i 19 października zawierały jednoznaczne stwierdzenia na temat trwającej właśnie przeprowadzki z Wilna do Łodzi, zaś dopiero list z 28 października 1899 roku pisany był w Łodzi.

O pobycie w Łodzi w publikowanych przed wojną pismach Piłsudskiego znaleźć można zresztą niewiele. W swojej *„Bibule"* wspomina on:

„Zaryzykowałem wziąć mieszkanie na piętrze, tym bardziej że w tym domu parter był zajęty przez skład bawełny i pończoch. Mieszkanie nasze składało się z czterech pokoi i kuchni. Z frontowych schodów wchodziło się do korytarza z którego na prawo drzwi prowadziły do pokoiku niewielkiego — w tym jadaliśmy obiad. Na lewo z korytarza było dwoje drzwi — jedne najbliższe od wejścia, do pokoju sypialnego, drugie do saloniku. Wprost z korytarza były drzwi do kuchni i z kuchni wreszcie na tylne schody. Za salonikiem był pokój duży, w którym postanowiliśmy umieścić drukarnię, a który był zarazem dla ludzi postronnych gabinetem moim dla pracy (...). W saloniku stał pod oknem mały stolik japoński, a na nim bożek buriacki, któregom przywiózł z Syberii. Podstawa bożka była wydrążona i tam z wieczora, po skończonej robocie, kładliśmy klucze do drukarni (...). Umeblowanie gabinetu-drukarni składało się z biurka redakcyjnego, w którego szufladach złożone były rękopisy i różne wydawnictwa potrzebne do redakcji; z otomany, w którą chowaliśmy papier; kosza, do którego szły różne odpadki produkcji — stopniowo potem spalane w piecach mieszkania; szafki składanej, w której się mieściła w górnej części maszynka drukarska, a w dolnych jej szufladkach kaszty z czcionkami i wreszcie z kilku krzeseł".

U *„Dąbrowskich"* przebywali całymi dniami *Aleksander Malinowski*, *Aleksander Sulkiewicz* i zecer *Kazimierz Rożnowski*. Właśnie pierwszy z nich — członek CKR PPS, przebywający w Łodzi od sierpnia 1899 roku — naprowadził tropiących go agentów carskiej „ochrany" na tajną drukarnię *„Robotnika"*. Sam on zresztą został w przeddzień rewizji aresztowany na dworcu kolejowym.

Anonimowi autorzy książki pt. *„Józef Piłsudski. 1867—1935"*, opublikowanej w parę tygodni po śmierci Marszałka w Krakowie, nakładem „Spółki Wydawniczej Kuriera", tak oto opisują sam moment aresztowania:

„Noc z 21 na 22 lutego 1900 roku. W Łodzi przy ul. Wschodniej w domu pod nr 19 pracuje zakonspirowana drukarnia Piłsudskiego. On sam stoi przy kaszcie i kończy składanie jednego z artykułów. Ulica niemal bezludna. Nikłe, żółte, naftowe światło latarni z trudnością walczy z mrokiem. Wkoło zalega cisza. Jest to dzielnica robotnicza, toteż ludzie śpią twardo po ciężkiej pracy i obudzą się o świcie na gwizd syren, które zwołają ich do warsztatów.

Piłsudski pracuje.

Nagle z ciemności wyłaniają się postacie szpicli, a za niemi postępują żandarmi. Na czele obławy idzie sam podpłk. Gnoiński. Obstawiono dom ze wszystkich stron. Cicho jak cienie skradają się carscy siepacze.

A tam, na górze, w małym pokoju wre praca. Wyjęto z szafy maszynę, wyjęto z sofy papier, a spoza szafy kaszty z czcionkami i tworzy się nowy, 36-ty numer „Robotnika".

Towarzysz „Wiktor" nie przeczuwa nieszczęścia. Zatopiony w swej pracy, myśli o tem, kiedy się wreszcie skończy walka słowem, a rozpocznie czyn orężny. Takby już chciał, takby chciał stanąć twarzą w twarz naprzeciw wroga i przemówić do niego argumentem jedynym, karabinową kulą! Tymczasem trzeba trwać na posterunku i prowadzić walkę jałową i beznadziejną. Jak długo jeszcze, jak długo?

Wtem, jakby w odpowiedzi na postawione pytanie, otwierają się drzwi i do pokoju wpada gromada żandarmów z podpułkownikiem na czele.

Zaczyna się skrupulatna rewizja, prowadzona systemem carskim. Po co jednak długich poszukiwań? Oto na maszynie leży gotowa, złamana kolumna z artykułem wstępnym, a obok leży odbitka tego artykułu, noszącego jakby na ironię tytuł: „Triumf swobody słowa".

Podpułkownik Gnoiński jest człowiekiem ciekawym i lubi lekturę. Bierze mokrą jeszcze odbitkę do ręki i czyta. Czyta półgłosem, uśmiechając się:

— „Orłow, szef żandarmów Mikołaja I, odprowadzając pewnego razu swego znajomego, wyjeżdżającego za granicę, prosił go o załatwienie małego interesu. Gdy będziesz pan w Norymberdze, — mówił mu — zajdź pan pod pomnik Gutenberga, wynalazcy druku i pluń mu pan odemnie w oczy. Od niego całe zło na świecie pochodzi".

Przeczytał podpułkownik Gnoiński to zdanie, spojrzał ironicznie na stojącego przy kaszcie towarzysza „Wiktora" i rzekł:

— Wot wam i Gutienberg!

A potem wskazując na maszynę drukarską dodał:

— Tak, jak widzicie, całe zło od niego!

Piłsudskiego zakuto i pod silną eskortą odprowadzono do łódzkiego więzienia.

Potem już tylko krótki raport żandarmski:

— W nocy z 21 na 22 lutego 1900 roku wyrwano z szeregów partii kilku zaciekłych agitatorów, oraz wykryto w mieście Łodzi przy Wschodniej 19 u mieszkającego tam pod nazwiskiem Dąbrowskiego, drukarnię z gotowym, złożonym na niej nakładem numeru 36-go socjalistycznego pisma „Robotnik"."

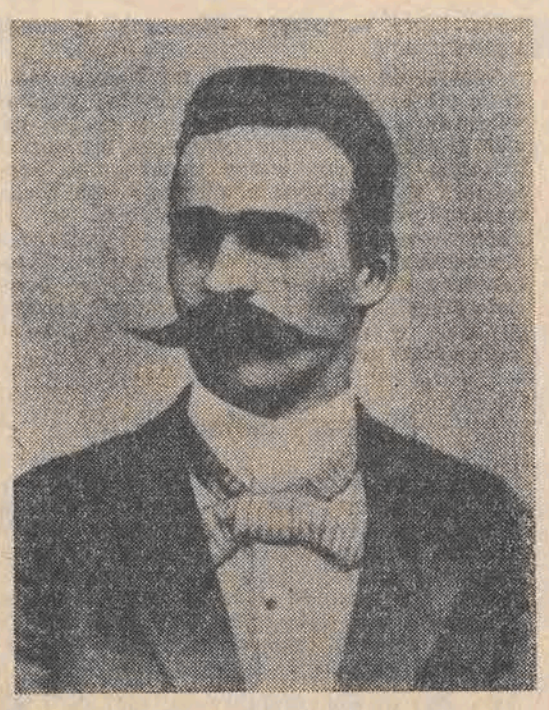

Józef Piłsudski w czasie pobytu w Łodzi w/g fotografii wykonanej w 1899 roku.

Piłsudskiego po aresztowaniu nie przewieziono jednak od razu — jak czytamy w apelu — do Cytadeli Warszawskiej.

W artykule pt. „Ze wspomnień", zamieszczonym w „Kalendarzu Robotniczym na rok 1905", *Piłsudski* pisał:

„Łódzkie więzienie, w którym spędziłem dwa miesiące i z którego przewieziono mię do cytadeli, dokuczyło mi śmiertelnie. Przypominało mi ono najgorsze więzienia sybirskie. Wstrętny wikt, na którym prawdopodobnie robił majątek p. zawiadowca, malutka cela bez kawałka mebla w niej, zakaz palenia tytoniu — wszystko to obrzydziło mi tę wstrętną dziurę".

Według wszelkiego prawdopodobieństwa mowa tu o więzieniu przy ul. Długiej 13 (obecnie Gdańskiej), wzniesionym w 1885 roku, gdyż jedyny w Łodzi do 1863 roku areszt miejski w ratuszu nie mógł już pomieścić wszystkich „buntowników".

W literaturze okresu międzywojennego spotkać można hipotezę, że miejscem uwięzienia *Piłsudskiego* był gmach przy ul. Nowo-Targowej 44 (dziś Sterlinga), co jest absolutnie niemożliwe, jako że miasto budynek ten zakupiło na więzienie dopiero 10 stycznia 1908 roku.

Z łódzkiego więzienia przeniesiony został *Piłsudski* do Cytadeli Warszawskiej dopiero 5 kwietnia 1900 roku.

Rzeczywiście umieszczono go w X Pawilonie, z którego na egzekucję wyprowadzano nie tylko *Traugutta* wraz z *Jeziorańskim*, *Krajewskim*, *Toczyńskim* i *Żulińskim*, w 1864 roku. Na stokach Cytadeli stracono również w 1886 roku *„proletariatczyków": Kunickiego, Bardowskiego, Pietrusińskiego, Ossowskiego i Kowalewskiego*. Zgładzono tu także *Okrzeję* i *Kasprzaka* w 1905 roku, *Montwiłła-Mireckiego* w 1908 roku, oraz w 1925 roku *Hibnera*, *Kniewskiego* i *Rutkowskiego*.

X Pawilon — w którym jako więzień nr 36 zajmował celę na pierwszym piętrze — opuścił *Piłsudski* po kilkumiesięcznym pobycie. Przeniesiono go — po udanej symulacji obłędu — do Szpitala św. Mikołaja Cudotwórcy w Petersburgu, skąd wykradziony został przez towarzyszy z PPS 13 marca 1901 roku.

Tyle historycznych uściśleń, do których warto dorzucić wyjaśnienie, że nawet przedwojenna tablica na frontonie kamienicy przy ul. Wschodniej 19 — wmurowana w 1920 roku — zawierała błędną datę. Głosiła mianowicie:

Tu mieszkał i został aresztowany 25. II. 1900 przez sługi caratu Naczelnik Państwa Józef Piłsudski w drukarni „Robotnika".

Na marginesie przypomnę, że bezpośrednie związki Piłsudskiego z Łodzią nigdy nie były zbyt bliskie, czemu sam dał wyraz w krótkim przemówieniu, jakie wygłosił 23 października 1920 roku z okazji otrzymania obywatelstwa honorowego miasta Łodzi:

„Łódź, szczerze powiem, pozostawiła mi w pamięci przykre wspomnienia, gdyż miałem tam mało przyjemności, a dużo przykrości. W pracy mojej obecnej — możecie być pewni, panowie — często mam do czynienia z miastem, które wy, panowie reprezentujecie. Łódź bowiem jest miastem, bez którego państwo nasze byłoby pewnego rodzaju kaleką. W chwilach ciężkich, jakie kraj nasz cały przeżywał, nieraz zadawałem sobie pytanie, jak wybrnąć z położenia z miastem tak przemysłowym, a tak zrujnowanym, jak Łódź. Dziś z radością stwierdzić mogę, że Łódź zdała egzamin ojrzałości społecznej i obywatelskiej, że wyróżniła się pracą twórczą spośród wielu innych miast w Polsce (...). To też dumny jestem bardzo z nadanego mi tytułu obywatela honorowego waszej Łodzi, za co serdecznie zatem dziękuję. Z radością śledzę postępy waszej pożytecznej w Łodzi pracy i przyrzekam, że gdy tylko okoliczności na to pozwolą, będę się starał spełnić waszą prośbę i Łódź odwiedzić".

Wracając zaś do samego apelu, czy inicjatywa wmurowania tablicy pamiątkowej jest godna poparcia?

Moim zdaniem — tak.

Nikt przecież nie uszanuje naszej historii, jeśli my sami nie będziemy odnosić się do niej z należytą dbałością i szacunkiem. Postać *Józefa Piłsudskiego* jest niewątpliwie kontrowersyjna, miała zawsze zarówno zagorzałych wielbicieli, jak i fanatycznych przeciwników. W niczym to nie zmienia faktu, że jest Piłsudski postacią historyczną pierwszej wielkości, związaną przecież nierozerwalnie z odzyskaniem przez Polskę niepodległości i odradzaniem naszej państwowości po półtorawiekowej niewoli.

Tablica nadto symbolizować by mogła jeszcze głębsze związki z tradycją i historią. Upamiętniłaby nie tylko konspiracyjny druk socjalistycznego *„Robotnika"* i pobyt *Józefa Piłsudskiego* w Łodzi. Poprzednia tablica — co również podkreśla apel — została zerwaną i zniszczona przez hitlerowców, którzy równie barbarzyńsko się z nią obeszli, jak z pomnikiem Kościuszki na pl. Wolności. Należałoby zatem i ten fakt odnotować na tablicy pamiątkowej.

Na zdjęciu dom, na którym znajdowała się tablica upamiętniająca pobyt Józefa Piłsudskiego w Łodzi.

Marian Papis

KOŚCIÓŁ ŁÓDZKI na rzecz etosu polskiego

10 grudnia 1980 r. minęło 60 lat od chwili utworzenia diecezji łódzkiej przez papieża Benedykta XV bullą „Christi Domini", a w roku bieżącym mija 60 rocznica powstania Wyższego Seminarium Duchownego. Wyniesienie Łodzi do godności stolicy biskupiej podniosło prestiż miasta, które przez długie lata niewoli było lekceważone, zaniedbywane i niedoceniane. Łódź stała się stolicą biskupią o rok wcześniej niż stała się siedzibą województwa. Natomiast powstanie Seminarium było dużym wydarzeniem nie tylko w życiu nowej diecezji, ale miało znaczenie dla życia intelektualnego mieszkańców Łodzi także i z tego względu, że ponad półmilionowe miasto nie posiadało w okresie międzywojennym żadnej wyższej uczelni.

Znaczenie tych rocznic nabierze rangi szczególnej, gdy bliżej przyjrzymy się bogatej i wszechstronnej działalności, jaką prowadził Kościół łódzki w całym 60-leciu oraz wartościom, jakie wniósł w życie swoich diecezjan i poprzez które miał wpływ na kształt współczesnego życia.

Znamię prekursorstwa cechuje działalność nowo powstałej diecezji i do dziś wyznacza jej szczególną rolę w polskim Kościele. Frapująca jest ta działalność zwłaszcza w okresie międzywojennym. Skoncentruję się tu w sposób wybiórczy głównie na działalności społecznej, charytatywnej i wychowawczej, jaką prowadził Kościół łódzki na rzecz mieszkańców Łodzi w pierwszym okresie po powstaniu diecezji.

Z czym do nowoczesności

Do czasu odzyskania niepodległości w 1918 r., Łódź licząca ponad 500 tys. mieszkańców pozostawała tylko miastem powiatowym, uzależnionym pod względem administracyjnym od gubernialnego miasta Piotrkowa Trybunalskiego, liczącego zaledwie 40 tys. mieszkańców. Władze piotrkowskie nie przejawiały żadnego zrozumienia dla tego wielkiego miasta „pracy i kontrastów społecznych".

Zabór rosyjski nie znał instytucji samorządu miejskiego, nie znały go również Łódź, ani miasteczka podłódzkie należące do tego zaboru. Stąd zrozumiałe upośledzenie tych ośrodków na skutek braku rzeczników interesów publicznych. Szczególnie upośledzona była wielka Łódź. Poza nielicznymi instytucjami, powstałymi z fundacji prywatnych lub społecznych, Łódź nie znała żadnych urządzeń dobra publicznego. Półmilionowe miasto posiadało tylko 3 państwowe szkoły średnie i około 40 szkół podstawowych. Nie było publicznych szpitali, ochronek, przedszkoli, przytułków, nie było także kanalizacji i wodociągów. Łódź do 1918 r. nie posiadała publicznych muzeów, bibliotek i salonów sztuki. Teatr stanowił własność prywatną. Urzędy obsadzane były przez Rosjan, większość fabryk znajdowała się w posiadaniu Niemców, a handel prowadzili Żydzi.

Ostoją ludności polskiej miasta i rzecznikiem jej interesów było duchowieństwo i Kościół katolicki. Mimo represji ze strony władz, księża występują w obronie interesów ludności polskiej. Podejmują walkę z przeciążeniem pracą nieletnich i nocną pracą matek. Z inicjatywy duchowieństwa łódzkiego powstaje pierwsze pismo codzienne i pierwsza księgarnia polska. Jedyny wówczas w Łodzi Dom Ludowy zostaje wybudowany z inicjatywy ks. *Albrechta*, a budowę Resursy Rzemieślniczej zainicjował ks. *Wincenty Tymieniecki* — proboszcz parafii pw. Św. Stanisława Kostki.

Pierwsza wojna światowa zadała Łodzi straszliwy cios. Niemcy, po wkroczeniu do miasta w grudniu 1914 roku, uważając podobnie jak Rosjanie przemysł łódzki za groźnego konkurenta, przystąpili do systematycznego unicestwiania jego podstaw. Ofiarą rekwizycji niemieckich padły wszystkie zapasy surowcowe, wszystkie fabrykaty i instalacje techniczne. Zdemontowano całkowicie park maszynowy. Zdawało się, że Łódź jako miasto przemysłowe przestała istnieć.

Pomoc biednym

Gdy na skutek działań wojennych umilkły warsztaty fabryczne, gdy banki wstrzymały wypłaty oszczędnościowe, gdy liczne rodziny zostały pozbawione swoich żywicieli powołanych przez powszechną mobilizację do służby wojskowej, robotnicza ludność miasta stanęła w obliczu skrajnej nędzy. 5 sierpnia 1914 roku ks. prob. *Wincenty Tymieniecki* występuje z hasłem jak najszerszej pomocy dla biednych. Z jego inicjatywy powstaje *„Komitet niesienia pomocy biednym"*, zespalający duchowieństwo wszystkich wyznań, którzy oświadczają: *„stoimy ramie przy ramieniu, by wspólnie się wspierać.*

Do momentu rozwiązania komitetu przez władze okupacyjne w sierpniu 1915 roku, suma bezpośredniej pomocy wyrażała się kwotą 5 milionów rubli. Po rozwiązaniu komitetu ks. prob. *W. Tymieniecki* współpracuje z *Łódzką Radą Opiekuńczą*, jest członkiem *Zarządu Sekcji Opieki nad Dziećmi i Młodzieżą*, prowadzi *Związek Polek* w Łodzi, jest prezesem *Okręgowego Związku Polskiej Macierzy Szkolnej*. Największym jego dziełem z pierwszych lat wojny było *Towarzystwo Schronisk Św. Stanisława Kostki*, które oddało ogromne usługi, ratując tysiące dzieci od śmierci głodowej. Pod koniec wojny pod opieką towarzystwa znajdowało się 15 zakładów oraz hotel dla bezdomnych starców przy ul. Pabianickiej.

Po odzyskaniu niepodległości w 1918 r., ks. prob. *W. Tymieniecki* ze zdwojoną energią przystępuje do pracy duszpasterskiej. Ponowny rozwój wielkiego przemysłu łódzkiego, napływ nowych rzesz robotniczych oraz trudności pierwszych lat powojennych mobilizują ks. *W. Tymienieckiego* do podejmowania nowych działań i wzmożonych wysiłków duszpasterskich. Podczas powstań śląskich pracuje w *Łódzkim Okręgowym Komitecie Plebiscytowym*, który zaopatruje walczących w odzież i pieniądze.

Odzyskanie niepodległości przybliżyło realizację nie ziszczonych w czasie zaborów pragnień wiernych aby w Łodzi powstała stolica nowej diecezji. Powstanie odrębnego biskupstwa łódzkiego stanowiło ważny współczynnik konsolidacji społeczeństwa katolickiego tego wielowyznaniowego miasta i przyczyniło się do zaktywizowania ośrodków życia religijnego i usprawnienia działalności duszpasterskiej. Ustanowienie stolicy biskupiej w Łodzi nie pozostało także bez wpływu na umocnienie polskiego życia w mieście stanowiącym prawdziwy konglomerat narodowościowy.

Pierwszy biskup łódzki

Pierwszym biskupem diecezji łódzkiej został powszechnie znany społecznik i ceniony duszpasterz, dotychczasowy proboszcz parafii p.w. Św. Stanisława Kostki — ks. dr *Wincenty Tymieniecki*, prekonizowany na ordynariusza diecezji 11 kwietnia 1921 r. Sakrę biskupią otrzymał z rąk metropolity warszawskiego ks. kard. *Aleksandra Kakowskiego* w dniu 29 czerwca tegoż roku.

Z uwagi na straty, jakie Łódź poniosła z rąk zaborców oraz w wyniku działań wojennych — przed pierwszym biskupem stanęły poważne zadania. On właśnie organizuje pierwsze instytucje diecezjalne, jak *Kurię Biskupią* i *Seminarium Duchowne*, które są konieczne dla egzystencji każdej diecezji. W organizowaniu tych instytucji — przez udostępnienie lokalu — przyszły z pomocą władze miasta.

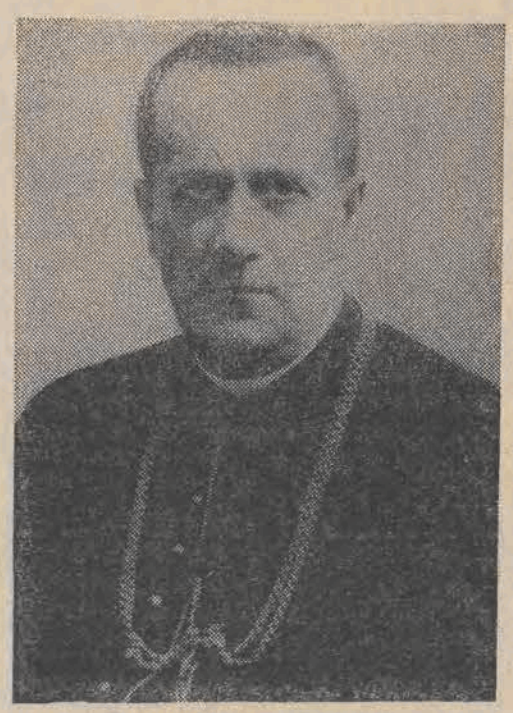

Ks. bp dr Wincenty Tymieniecki
Foto: Jerzy Fidler

W służbie miastu

Do roku 1923 przemysł łódzki przewyższył pod względem zatrudnienia robotników swój stan przedwojenny. W Łodzi znajduje siedzibę wiele zrzeszeń i karteli przemysłowych, przedstawicielstw światowego handlu surowcami włókienniczymi, zarządów wielu pozałódzkich fabryk. Jednocześnie Łódź osiąga najwyższy stopień proletaryzacji, wyróżniający się cyfrą 63,6 proc robotników w ogólnym składzie ludności. Przemysłowy proletariat łódzki tworzyli przeważnie robotnicy przemysłu włókienniczego. Po stosunkowo krótkim okresie stabilizacji ekonomicznej powojennej Polski, występuje ostry kryzys gospodarczy. Jest to także kryzys światowy, który w latach 1929—1933 ze szczególną siłą uderzył w łódzki przemysł włókienniczy. Bezpośrednim skutkiem tego kryzysu był gwałtowny wzrost bezrobocia. Prasa łódzka z tego okresu pełna jest doniesień o zamykaniu poszczególnych oddziałów, lub całych fabryk i — przymusowej redukcji robotników. Tylko znikoma część bezrobotnych pobierała zasiłki z funduszu bezrobocia. Ciężką sytuację materialną robotników łódzkich pogłębiały fatalne wręcz warunki mieszkaniowe. Miasto cierpiało na chroniczny brak urządzeń sanitarnych, kanalizacyjnych i wodociągów, co było przyczyną szerzenia się chorób zakaźnych — zwłaszcza gruźlicy. W wyniku tej sytuacji dochodzi do ostrych strajków. Od 1931 r. strajki zaczynają przybierać charakter masowy, a w 1933 r. wybucha z wielką gwałtownością powszechny strajk włókniarzy.

Na skutek kryzysu gospodarczego i przedłużającego się bezrobocia, głód niemal na stałe zadomowił się w domach robotników. W tej rozpaczliwej sytuacji rośnie przestępczość, szerzą się kradzieże, zdarzają się wypadki porzucania dzieci i dzieciobójstwa.

W obliczu takich warunków duszpasterstwo łódzkie poświęca wiele wysiłku dla zorganizowania na szeroką skalę akcji socjalnej, charytatywnej i wychowawczej.

Dla przezwyciężenia ciężkiej sytuacji, w lutym 1931 r. bp *Wincenty Tymieniecki* powołuje komitet pomocy dla najbiedniejszych pod nazwą *„Doraźny posiłek"*. Na czele komitetu stanął osobiście jako przewodniczący. Zadaniem tego komitetu było dożywianie rodzin najbiedniejszych i pozbawionych pracy. W tydzień później powstaje pierwsza *Kuchnia* przy ul. Lokatorskiej na Chojnach, która wydawała około 300 obiadów dziennie. W poszukiwaniu funduszów na rozwój tej akcji bp *W. Tymieniecki* zwraca się z prośbą o poparcie do prezesów Banku Polskiego, Banku Gospodarstwa Rolnego i Banku PKO, agituje w listach skierowanych do różnych łódzkich osobistości. Niezależnie od wysyłania listów, składa wizyty przemysłowcom łódzkim, prosi o węgiel dla biednych swojej diecezji w śląskich koncernach węglowych i towarzystwach górniczych.

W efekcie tych starań zostaje uruchomionych 14 kuchni, wydających dziennie ponad 6 tys. obiadów nie wliczając w to dożywiania ok. 1.000 dzieci z przedszkoli.

Pod koniec 1932 r. liczba bezrobotnych i głodujących z dnia na dzień powiększa się. W związku z tą pogarszającą się sytuacją, bp *W. Tymieniecki* przekształca komitet dla najbiedniejszych *„Doraźny posiłek"* w *Komitet Akcji Katolickiej „Caritas"*. Jego podstawowym zadaniem było nie tylko dożywianie biednych i bezrobotnych w uruchomionych dotychczas kuchniach oraz dożywianie dzieci w przedszkolach i ochronkach parafialnych, ale także roztoczenie opieki materialnej i moralnej nad chorymi i wszelką nędzą ludzką. Na artykuły żywnościowe biedni otrzymywali bony, za które nabywali potrzebne artykuły w sklepach PSS, natomiast obuwie i ubrania zamawiano u wielu łódzkich rzemieślników, którzy pobierali najniższe opłaty.

Kryzys gospodarczy nie ominął także pracującej inteligencji. Trudna sytuacja inteligencji skłoniła bpa *W. Tymienieckiego* do zorganizowania doraźnej pomocy przez stworzenie taniej kuchni przy ul. Narutowicza 31. Nowo powstała placówka cieszyła się wielkim uznaniem. Przez kilka lat swej działalności bardzo wiele pomogła ludziom pozbawionym pracy.

Oprócz pracy charytatywnej, ujętej w formy organizacyjne, nad którymi bp *W. Tymieniecki* czuwał osobiście, lub przez swoich delegatów, ludzie biedni i nieszczęśliwi — jak pisze ks. dr *Zdzisław Czosnykowski* w pracy poświęconej bp *W. Tymienieckiemu „zawsze mieli do niego dostęp — nigdy nie odchodzili od niego nie wsparci i nie pocieszeni. Umiał nieraz wiele sobie odmówić by podzielić się z biednymi. Jego imieniny były przede wszystkim świętem dla ubogich. Znane są wypadki, że wiele otrzymanych prezentów oddawał biednym. Odznaczał się zawsze wielką wrażliwością na nędzę ludzką". „Kiedy człowiek woła o pomoc* — pisał w jednym z listów pasterskich — *tego wołania nie może zagłuszyć warkot tysięcy maszyn ani huk motorów."*

Był rzeczywiście *biskupem ubogich*. Uważał, że wychowanie wiernych do czynnej miłości bliźniego, było jedyną drogą prowadzącą ku lepszej przyszłości.

Działalność społeczna

staje się integralną częścią pracy duszpasterskiej, gdyż nie mogła ona pozostać obojętna na przemiany społeczne, na niedomagania ustrojowe i kryzysy ekonomiczne. Zasadniczym motywem tej działalności była sprawiedliwość społeczna. Cały wysiłek działaczy katolickich szedł nie tyle w kierunku leczenia ran, ile zmierzał ku stworzeniu takich warunków, które uchroniłyby człowieka i grupy społeczne od nędzy materialnej, kulturalnej i obyczajowej. Jeżeli gdziekolwiek aktualna była kwestia społeczna, to w pierwszym rzędzie w robotniczej Łodzi. Tutaj, w mieście gorączkowej pracy, zarysowały i spotkały się na płaszczyźnie walki dwa światy — świat wielkiego kapitału z jednej strony, a z drugiej świat robotniczy, żyjący wyłącznie z pracy rąk i skazany często na niedostatek i nędzę. Odczuł tę sytuację bp *W. Tymieniecki* od początku swego duszpasterstwa. Widział wiele potrzeb łódzkiego świata pracy, ale za najpilniejszą uznał podjęcie walki ze straszną nędzą mieszkaniową. Sprawa mieszkaniowa wysunęła się na czoło zagadnień w tych krajach, przez które przeszła wojna. Polska nie tylko przeżyła wojnę, ale swoją państwowość musiała budować od nowa — stąd w ostrzejszej formie wystąpiło u nas zjawisko głodu mieszkaniowego.

Warunki mieszkaniowe w Łodzi wyglądały fatalnie. Prawdziwą klęską wielkiej Łodzi była ogromna ilość małych, przeludnionych i niehigienicznych mieszkań. Odsetek mieszkań jednoizbowych, stanowiących wykładnik nędzy mieszkaniowej, jak pisze prof. *Edward Rosset*, był w Łodzi najwyższy ze wszystkich miast Polski i wynosił 59,7%. Wieloletni zastój w dziedzinie budownictwa spowodował olbrzymie przeludnienie w mieszkaniach jednoizbowych, zajmowanych przez ludność robotniczą. Łódzka sytuacja mieszkaniowa stanowiła podłoże najwyższej śmiertelności w kraju, sprzyjała szerzeniu się alkoholizmu i prostytucji, była czynnikiem zarówno fizycznej jak i moralnej degeneracji.

W tym kontekście inicjatywa budowy tanich domów robotniczych, z którą wystąpił w 1928 r. bp *W. Tymieniecki*, miała nieocenione znaczenie także dla powodzenia działalności duszpasterskiej w Łodzi. Założona przez bpa *W. Tymienieckiego — Spółka Akcyjna Towarzystwa Domów Robotniczych* spotkała się z żywym oddźwiękiem w łódzkim świecie przemysłowym. W skład komitetu weszli znani łódzcy przemysłowcy oraz przedstawiciele prywatnych instytucji. Specjalna delegacja udała się do Holandii i Belgii, w celu zapoznania się z budową domów robotniczych w tych państwach. Następnie towarzystwo rozpisało konkurs na architektoniczny projekt osiedla. Wzięli w nim udział również architekci z Holandii, Włoch i Austrii. Pierwszą nagrodę przyznano *W. Gezlerowi* z Łodzi i wg jego projektu przystąpiono do realizacji osiedla mieszkaniowego w okolicach Dworca Kaliskiego przy ul. Wileńskiej (dziś Małgorzaty Fornalskiej). W dniu 13.V.1929 r. bp *W. Tymieniecki* w asyście duchowieństwa i wobec przedstawicieli władz dokonał poświęcenia fundamentów pod budowę domów robotniczych. W krótkim czasie stanęło przy ul. Wileńskiej osiedle robotnicze składające się z 98 domów jedno- i dwurodzinnych. Na całym terenie została przeprowadzona kanalizacja, do każdego domku doprowadzono wodę, urządzono wspólną pralnię i suszarnię. Nie zapomniano również o lokalu na sklep spółdzielczy. Jeden z budynków przeznaczono na przedszkole.

Zasługą bpa *W. Tymienieckiego* jest nie tylko to, że powołał do życia nowe osiedle mieszkaniowe dla robotników, ale przede wszystkim to, że przypomniał wielkiemu światu przemysłowemu o obowiązkach ciążących na nim i wskazał jeden ze sposobów praktycznej ich realizacji. Budowa tanich domów robotniczych w Łodzi odbiła się szerokim echem nie tylko w kraju. Na ówczesne czasy było to wydarzenie o wymiarze europejskim. Wielu działaczy społecznych z różnych krajów przyjeżdżało do Łodzi, aby na własne oczy przekonać się, jak tutaj zaczęto praktycznie rozwiązywać trudne problemy mieszkaniowe łódzkiego proletariatu. Wiele wyrazów uznania i szacunku za śmiałą inicjatywę skierowały centrale związków zawodowych oraz przedstawiciele życia gospodarczego i centralnych organizacji przemysłu budowlanego.

Kolonie letnie

Sytuacja materialna wielu rodzin robotniczych nie pozwalała na wysyłanie dzieci w okresie letnim na kolonie. W trosce o te dzieci bp *W. Tymieniecki* tworzy w 1926 r. *Biskupi Komitet Kolonii Letnich*. W skład tego komitetu wchodzą przedstawiciele zakładów przemysłowych i niektórych zakładów użyteczności publicznej. Komitet każdego roku wysyła przeciętnie ok. 500 dzieci do podłódzkich miejscowości klimatycznych, Kazimierza, Szczawina k/Zgierza, Łagiewnik oraz do Spały. Kolonie, organizowane wg nowoczesnych wymogów pedagogicznych, prowadzone były przez wysoko kwalifikowane siły wychowawcze. Każdego roku bp *W. Tymieniecki* przeprowadzał wizytację dzieci przebywających na koloniach. Pragnąc zapewnić dla dzieci robotników łódzkich stałe miejsca wczasowe, czynne przez cały rok, a nie tylko w okresie letnim, wznosi w lasach łagiewnickich obszerny dom wczasowy „Juwenat", który został wybudowany na 4 morgach terenu leśnego zakupionego z funduszu *Biskupiego Komitetu Kolonii Letnich*. Pięknie położony, wśród lasów, stał się wymarzonym miejscem wczasowym dla dzieci robotniczych z pobliskiej Łodzi. Opiekę nad nim sprawowały ss. służebniczki.

Inne inicjatywy

Łódź przed 1939 r. nie posiadała żadnej wyższej uczelni. Dlatego biskupi łódzcy w pewnym zakresie podjęli się wypełnienia tej luki. Począwszy od 1924 r. byli stale zapraszani do Łodzi z odczytami profesorowie wyższych uczelni KUL, UJ, UW, Uniwersytetu Poznańskiego. Od tego też roku wychodzi tygodnik *„Słowo Katolickie"*, poświęcony głównie sprawom społecznym i światopoglądowym. W 1925 r., z inicjatywy bpa *W. Tymienieckiego*, powstaje *Towarzystwo Kultury Katolickiej*, które podjęło się organizacji odczytów, koncertów muzyki religijnej oraz wydawania czasopism i książek o treściach religijnych, społecznych i naukowych. Ta pożyteczna inicjatywa była w ocenie samego bpa *W. Tymienieckiego* niewystarczająca, dlatego w 1930 r. powołuje on do życia *Katolicki Uniwersytet Robotniczy*. Program *KUR* przewidywał wykłady z etyki katolickiej, katolickiej nauki społecznej, literatury, ekonomii, geografii gospodarczej, spółdzielczości, higieny i księgowości. Nauka na *KUR* rozpoczynała się 15 września, a kończyła 15 maja roku następnego. *KUR* liczył w ciągu roku około 1000 słuchaczy, którymi mogli zostać obywatele po ukończeniu szkoły podstawowej.

Samorząd *KUR* był organizatorem różnych imprez kulturalno-oświatowych, prowadził sekcję dramatyczną, muzyki poważnej i rozrywkowej, urządzał wieczornice, wycieczki, starał się o utrzymywanie życia towarzyskiego i kulturalnego słuchaczy.

Na przykładzie tych działań możemy bez żadnej przesady stwierdzić, że Kościół łódzki w okresie międzywojennym w sposób szczególny służył robotnikom. Robotnik czuł, że nie jest sam, że ma obrońców w biskupach katolickich. W okresach najtrudniejszych Kościół chronił robotników przed wyzyskiem obcego kapitału, ratował wśród robotników najwyższe wartości moralne. Dlatego szczególną troską otaczał młodzież rzemieślniczą. Tej młodzieży udziela pomocy moralnej, religijnej, materialnej, umysłowej, troszczy się o jej wykształcenie zawodowe. W tym celu organizowanych jest wiele kursów zawodowych, powstają nowe szkoły zawodowe, czytelnie i biblioteki, urządzane są biura porad i opieki zawodowej oraz pośrednictwo w wyszukiwaniu pracy dla młodzieży. Wielką rolę w pracy nad młodzieżą rzemieślniczą odegrali księża salezjanie z ul. Wodnej, którzy wybudowali i prowadzili do lat 60-tych wzorową szkołę rzemiosł.

W pracy duszpasterskiej były nie tylko słowa, ale i czyny. Należy także pamiętać, że w całym okresie międzywojennym duży był wkład Kościoła katolickiego w ratowanie i podtrzymywanie polskości. Chociaż ludność żydowska i niemiecka stanowiła tu znaczny odsetek ludności — Łódź pozostała miastem polskim. Było to niewątpliwie zasługą Kościoła katolickiego, który stanowił czynnik skupiający i integrujący elementy polskie. Przyszło mu jednak za to zapłacić wysoką cenę już od pierwszych dni września 1939 r.

JAN LECHOŃ O SWEJ TWÓRCZOŚCI

(Wybór fragmentów „Dziennika")

25 rocznicę tragicznej śmierci Jana Lechonia (8 czerwca 1956 roku) pragniemy przypomnieć wyborem fragmentów z „Dziennika" poety. Rozpoczął go autor 30 sierpnia 1949 roku, pisał najregularniej nie opuszczając ani jednego dnia, urwał zaś na tydzień przed śmiercią, gdy rozterka wewnętrzna przekroczyła możność samokontroli.

„Dziennik" Lechonia jest przede wszystkim opowieścią o sobie, zapisem ocalającym swoiste fakty i refleksje składające się na osobowość twórcy. Wybrane fragmenty mogą służyć jako autokomentarz pisarza — dokonują oceny własnej twórczości, odsłaniają jej genezę i literackie koneksje, prezentują system estetyczny, światopoglądowy i etyczny poety.

W. N.

2.X.1949

To, co Valéry powiedział, a co brzmi mniej więcej: „Budując swoje dzieło — zbudowałem sam siebie" jest to podświadomy drogowskaz mojego teraz życia. Oczywiście, że pisanie jest psychoanalizą i terapią. Ale poza tym — wszystkie wartości wchodzą na właściwe miejsce kiedy dać właściwe, pierwsze miejsce twórczości.

11.X.1949

Nic z góry nie wiadomo, żadne trudności nie oznaczają, ze trzeba przestać pisać, ale też chyba żadne zadowolenie nie jest dowodem, że naprawdę coś się udało. Jedno co zostaje — to nie ustawać w wysiłku, żyć tym tylko, nie zadowalać się niczym, myśleć ciągle o tym, co dalej. I wierzyć, że przecież coś z tego musi być; jeśli nie będzie — to już nie moja wina.

11.X.1949

Czy to możliwe, żebym już nigdy nie mógł zaznać odpoczynku od tego niepojętego rozdwojenia, które mnie rozdziela, którego sensu nie rozumiem, a które tyczy się wszystkiego we mnie: myśli, uczucia i zmysłów? Każda praca bardziej wytężona i każdy niemal wiersz naprawdę dobry okupione są tym jakby odejściem od siebie, tym powierzeniem się jakimś tajemniczym mocom, które mnie ssą jak wampiry i pozostawiają później w pustce i bez jakiejkolwiek radości z tego co uczyniłem.

14.I.1950

Gdyby nie ten antytalent systemu w pisaniu — miałbym wcale niezłą bibliografię i biografię też. Robić co można, by to jeszcze nadrobić.

13.X.1950

Ja już żyję tylko dla nekrologu. Oczywiście to „licentia poetica". Ale nie ma już naprawdę czasu na nic, co nie jest najważniejsze.

2.III.1950

Od bardzo dawna nie miałem mistrzów. Mistrzami mej młodości byli romantycy polscy i Wyspiański, później przyszła przez Boya i przez Paryż cała literatura francuska, to znaczy ta typowa nawet w wybuchach pełna precyzji i jasności. Jestem rozdarty i wewnętrznie i do pewnego stopnia pisarsko dzieckiem tych jakże różnych rodziców. Dzieckiem — niechże się użalę nad sobą — bardzo samotnym, bo oboje rodzice są już na tamtym świecie.

I oto czuję teraz dziecinną potrzebę jakiegoś nauczyciela, jakiejś gwiazdy niedoścignionej, bez której za ciężko jest nieść samotność wszystkich wielkich i małych udręk Polaka i pisarza.

Czytam od pewnego czasu z nieznaną mi pokorą, w nadziei, że trafię na tę gwiazdę.

13.IV.1950

Moja matka ani na chwilę nie polubiła mojej tzw. kariery dyplomatycznej i nie mówiła ze mną nigdy o niej. Żadne moje felietony, eseje, poboczne roboty nigdy jej nie interesowały. Przez całe życie chciała tylko jednego — abym był „drugim Słowackim". To także ważny bardzo powód, abym już przy żadnych głupstwach nie zatrzymywał się.

8.III.1952

„Lecz nie spostrzegli snać
Żem dość już chyba gadał,
By siłę chóru znać,
By chór mi odpowiadał."

W tej zwrotce Wyspiańskiego słowa są byle jakie, muzyka prawdziwa, ale nie wyszukana. I otóż przypomniawszy ją sobie wczoraj — doznałem olśnienia ukrytym w niej przeżyciem nie znanym może żadnym poza naszymi poetom. Byli oni zawsze śpiewakami na tle chóru, cały naród był tym chórem. Każdy z nas w jakiejś cichej chwili największego zuchwalstwa, czuł się takim śpiewakiem i pragnął „siłę chóru znać, by chór mu odpowiadał".

Ciągle ktoś z moich znajomych zdradza się z troską o mnie, że nie piszę. Co to znaczy: nie piszę. W czasie wojny i dotąd napisałem chyba trzy razy więcej wierszy niż w w ciągu całego poprzedniego życia, a z moich artykułów i wspomnień (nie licząc „wstępniaków" do „Tygodnika") dałoby się zrobić ze dwie książki. Tego „Dzienniczka" już nie liczę. Ciekaw jestem, czy gdybym to wszystko wydał — ci życzliwi (którzy nie wiem zresztą czy by to przeczytali) byliby zaspokojeni. Myślę, że jednak nie — że w gruncie rzeczy oczekują oni ode mnie „Pana Tadeusza" czy „Dziadów". Mam uczucie, że gdybym mógł coś takiego napisać, nie zrobiłbym tego na złość tym wszystkim troskliwcom.

31.III.1952

Przypomniałem sobie premierę „Wesela" w „Rozmaitościach", pamiętną dla mnie do dziś dnia jako wzruszenie jedyne, które zadecydowało że zostałem poetą — i to takim właśnie jak jestem.

7.XI.1953

Przyszła rewizja moich „Poezji zebranych". Bardzo mi się ta książka nie podoba — poza „Karmazynowym poematem" i paroma wierszami z innych tomów. Jest tego wszystkiego 170 stron. Gdybym miał odwagę przyznać się do mych błędów, wybrałbym ze sto najwyżej.

13.XI.1953

Bardzo dużo wierszy do wyrzucenia, ale chwała Bogu, w ostatniej części są też takie, których się nie wstydzę.

14.VI.1953

Przyszedł pierwszy egzemplarz mojej książki z Londynu. Nie można było wydać jej piękniej, z większą elegancją. Przypomniał mi się pierwszy egzemplarz „Karmazynowego poematu", którym dostał leżąc na Przyrynku w ciężkiej, zdawało mi się w beznadziejnej chorobie. Rozpłakałem się zobaczywszy ten mały kajecik w brązowej oprawie — zdawało mi się że to mój koniec, jeśli nie koniec życia, to koniec pisania. I oto blisko 40 lat przeszło, i wyżyłem, i coś tam napisałem — na pewno nie wznosząc się wciąż wyżej ale też nie schodząc w dół. Już tyle razy napisałem to tutaj: Chciałem lepiej, ale czy naprawdę mogłem? Może bym się i dziś rozpłakał — ale nie było przed kim. Więc tylko głaskałem te kartki, przerzucałem je wiele razy. Zdawało mi się, że są to uczciwe wiersze (nawet te bez ognia). Ale trzeba jak najprędzej od nich odejść i być znów tym samym — ale i nowym sobą. Amen.

11.X.1954

Przerzucałem u Opalińskiego pierwsze roczniki „Wiadomości" i śledziłem na nich zacieśnianie się i rozsupływanie różnych kompleksów, które mi przeszkadzały pisać. Jeden to złość, z którą trzeba było wojować za pikadorskich czasów, ale który powinienem był bardzo złagodzić gdym wyszedł z tych pieluszek. Drugi — to zaułek stylistyczny, niemożność wybrnięcia z pewnej maniery, a raczej z dwóch: patetyczno-obrzędowej, od nekrologów, i drugiej — właśnie tej pamfletowej, zaciekłej, bezlitosnej nie zawsze w wartej tego sprawie. Nie poznawałem dziś siebie, czytając rozmaite moje egzekucje, jak np. zupełne rozdeptanie Zygmunta Kisielewskiego albo polemika z Turkowem z „Naszego Przeglądu". Co tu gadać, nie byłem bardzo nieszczęśliwy. A dlaczego? Wiem, ale nie powiem. Może już nigdy nie powiem. Początkiem mego normalnego pisania była przedmowa do Słowackiego, pisana przez parę miesięcy w najstraszliwszym upadku ducha i umysłu, po której przyszły nagle już łatwo, prawie brawurowo, recenzje teatralne do „Czerwoniaka" pisane w redakcji, w noc po premierze. Artykuły, którem przesyłał do „Wiadomości" z Paryża, były już tą normalną prozą, kiedy pióro szło za myślą a nie myśl za słowem. Gdybym nie wszedł do ambasady, może bym coś co się zowie prozą napisał. I gdybym nie założył w Nowym Jorku tego przeklętego „Tygodnika".

16.XI.1954

W artykule Nowakowskiego o mnie wychodzę na poetę żałoby. To nieprawda, choć rozumiem najlepsze intencje Nowakowskiego i ciężkie przecim mnie poszlaki. „Karmazynowy poemat" nie był poematem żałoby, w „Lutni" i w „Arii z kurantem" były też wiersze mocnej pociechy — jeśli tak ordynarnie można powiedzieć. A wśród ostatnich wierszy, mimo „Pana Twardowskiego" są pierwsze u mnie — prawie Horacjuszowskie, jak „Plato" albo „Rekrutacja".

8.XII.1954

Wszystko co napisałem najlepszego rodziło się w tych bólach porodowych, w tym straszliwym zwątpieniu i nieodłącznym od tworzenia, od prawdziwego tworzenia.

26.II.1956

Czytałem cały mój tom „Poezji zebranych" i sam się parę razy roztkliwiłem. Na pewno są tam dobre wiersze, jest dużo dobrych wierszy. Ale to co wystarczyłoby dla pośmiertnej chwały liryka, u mnie wydaje się niezupełne. Te krótkie wiersze epickie aż proszą się o rozwinięcie w jakąś większą budowę. Wbrew temu co mi zawsze powtarza Wittlin, ja nie jestem Ravel. Czuję że powinienem był zdobyć się na większy oddech, że jakiś tzw. „szlagier" i „kobyła" należały się ode mnie polskiej poezji, nie dlatego żeby to była większa poezja niż liryka, ale to jest — jeśli nie mój rodzaj — to jeden z moich rodzajów.

Wyboru dokonała:
WANDA NOWAKOWSKA

JAN LECHOŃ

PIŁSUDSKI

Czarna Rachel w czerwonym idzie szalu drżąca
I gałęzie choiny potrąca idąca —
Nikogo nie chce budzić swej sukni szelestem,
I idzie wprzód jak senna, z rąk tragicznym gestem,
I wzrokiem, błędnym wzrokiem gasi mgieł welony,
I świt się robi naraz. I staje zlękniony.
Pobladłe Robespierry, cisi, smutni, czarni,
Wychodząc, z hukiem drzwiami trzasnęli kawiarni.
Na rogach ulic piszą straszną ręką krwawą,
Uśmiechają się dziwnie i giną na prawo.
Tylko słychać nóg tupot na ulicy pustej
I szept cichy. Trup jakiś z zbielałymi usty.

I gdzieś kończy muzyka jakiś bal spóźniony.
Pod lila abażurem mrugają lampiony.
Białych sukni w nieładzie senność, ciepło, zmięłość,
I piersi, krągłych piersi obnażona świętość,
I mazur, biały mazur w ogłupiałej sali:
Dziś! dziś! dziś! Wieś zaciszna i sznury korali.
Roztańczyła się sala tęgim nóg tupotem,
Hołubce o podłogę walą, biją grzmotem,
Białe panny i panny niebieskie, różowe
Przelotnie a zalotnie przechylają głowę
I mówią czarnym frakom: „Przyjdźcie do nas jutro!"
I podają im usta za podane futro.

A kiedy świt różowy przez żaluzje wnika,
Dla siebie, nie dla gości, gra jeszcze muzyka.
Menuetem się cichym wiolonczela żali,
I białe margrabiny przychodzą z oddali.
Na liliowych oparach spływają bez słowa,
I panier rozłożyła markiza liliowa.
Kawaler podszedł blady. Pani tańczyć każe!
I tańcza hafty, sprzączki, koronki, pliumaże.

A w klarnet, flet i skrzypce, w ukłony margrabin
Czerwoną, rozwichrzoną wpada nutą Skriabin.
Drze ciszę dysonansem, wali w okiennice,
Muzykę wyprowadza przed dom, na ulicę,
Na place rozkrzyczane w potępieńcze ryki.
I rzuca w twarz akordom zgłodniałe okrzyki.
Na ziemię je obalił i kopie z rozpaczą:
Otworzyć wszystkie okna!! Niech ludzie zobaczą!!

Wielkimi ulicami morze głów urasta,
I czujesz, że rozpękną ulice się miasta,
Że Bogu się jak groźba położą przed tronem
I krzyknął wielką ciszą... lub głosów milionem.
A teraz tylko czasem kobieta zapłacze —

Aż nagle na katedrze zagrali trębacze!!

Mariackim zrazu cicho śpiewają kurantem,
A później, później bielą, później amarantem,
Później dzielą się bielą i krwią, i szaleństwem,
Wyrzucają z trąb radość i miłość z przekleństwem,
I dławią się wzruszeniem, i płakać nie mogą,
I nie chrypią, lecz sypią w tłum radosną trwogą,
A ranek? Mroźny ranek sypie w oczy świtem.
A konie? Konie walą o ziemię kopytem.
Konnica ma rabaty pełne galanterii.
Lansjery-bohatery! Czołem kawalerii!
Hej, kwiaty na armaty! Żołnierzom do dłoni!
Katedra oszalała! Ze wszystkich sił dzwoni.
Księża idą z katedry w czerwieni i złocie,
Białe kwiaty padają pod stopy piechocie,
Szeregi za szeregiem! Sztandary! Sztandary!

A on mówić nie może! Mundur na nim szary.

(Wiersz z tomu „Karmazynowy poemat" z 1920 roku. Napisany pod wrażeniem uroczystości w Warszawie w październiku 1917 r., dedykowany pierwszej odtwórczyni roli Racheli w krakowskiej premierze „Wesela" Wyspiańskiego w 1901 roku)

LEGENDA

Wszystkie słowa podniosłe, któreś znał ze szkoły,
Muzyka starych pieśni, wolności anioły,
Książę Józef na koniu, wiszący nad biurkiem,
I olbrzymi Batory w małej czapce z piórkiem,
I młodzieniec z Grottgera, co żegna swą miłą,
Pocztówka z Białym Orłem — wszystko to ożyło!
I oto między nimi jako brylant krwawy
Świeci mur zburzonego katedry ołtarza,
Leży kamień zwyczajny z ulicy Warszawy,
Stara chustka służącej, czapka gazeciarza.
Wśród stalowych husarzy skrzydlatego szyku
Widzisz pana niskiego w czarnym meloniku.
A dalej, gdzie więzienia gruby mur i wieże,
Generała Kleeberga podniesiona głowa
I słyszysz — (czyś mógł myśleć?) — równie piękne słowa
Jak tamte, które kiedyś umilkły w Elsterze.

(z tomu „Aria z kurantem" 1945)

MONTE CASSINO

Turyści przyjechali zwiedzać Somo-Sierra,
Pytają, czy nie można kupić polskich kości,
I szybko obejrzawszy, chcą nowej wzniosłości
I nowego oglądać jadą bohatera.

Jeszcze widzą, jak czako płynie z prądem rzeki,
I słyszą okrzyk „Honor!" stłumiony przez fale,
Więc, stanąwszy na brzegu, wołają: „Wspaniale!
Jakże zginął wspaniale! Pokój mu na wieki!".

I teraz do Włoch jadą. Zakupili kwiaty,
Chcąc na groby je rzucić poetycką dłonią.
Lecz nocą pękły groby i Polacy z bronią
Ruszyli, aby żądać za swą krew zapłaty.

(z tomu „Aria z kurantem" 1945)

PLATO

Śniegi drogi zaniosły, gdzieśmy się spotkali,
Łzy nasze dawno oschły, przeminęły szały.
Jak przez mgłę widzę tylko z coraz większej dali
Te którem niegdyś kochał, które mnie kochały.

Lecz nigdy nie zgodzony z miłości utratą,
Patrzę jako powoli obraca się scena
I zamiast tych straconych, przychodzą: Erato,
Kalliope, Polihymnia, Talia, Melpomena.

(z tomu „Marmur i róża", który ukazał się w ramach „Poezji zebranych" w 1954)

REKRUTACJA

W wojnie, którą Ci wydał, szturmując do nieba
Ażeby tron Twój posiąść, Archaniol strącony,
Wiem, Panie, że każdego żołnierza Ci trzeba,
I dlatego w tej chwili staję z Twojej strony.

Weź mnie do Twych szeregów, choć wyznać Ci muszę,
Żem nieraz Cię odstąpił, bo mnie wróg Twój łudził
I po różnych manowcach prowadził ma duszę,
Nimem głos Twój rozpoznał i wreszcie się zbudził.

Nie nęciły mnie nigdy laury wojownicze
I od pierwszych szeregów będę stronił z dala,
Lecz gdybym miał uchodzić, wtedy, Panie, liczę
Na potężny kuksaniec Anioła-kaprala.

(z tomu „Marmur i róża" 1954)

EMIGRACJA

Witoldowi Małcużyńskiemu

Na paryskim poddaszu huczy wiec wygnańczy,
Siedzą starzy wodzowie w wspomnień dym zasnuci,
Podkówki krzeszą ognia, cała sala tańczy,
Biała panna wspomina kogoś, kto nie wróci.

Za oknem deszcz mży cicho, listów z Kraju nie ma,
W oddali kulawego milknie krok żołnierza.
I tylko to zostaje, co w dźwiękach zatrzyma
Ten, co teraz u krawca modny frak przymierza.

(z wierszy pisanych w latach 1954—1956)

gram silną

rozmowa z Marią Fołtyn

— Od czego zwykle rozpoczyna pani pracę nad przedstawieniem?

— Od zapoznania się z historią okresu, w którym toczy się akcja opery, później studiuję partyturę i czytam jednakowo uważnie tekst libretta. Tych dwóch ostatnich spraw — moim zdaniem — nie można rozdzielać. W przypadku ostatniej swojej realizacji operowej: „Marii Stuart" Romualda Twardowskiego w łódzkim Teatrze Wielkim, zapoznałam się z całą bogatą dokumentacją dotyczącą historii tamtego okresu, z wyszczególnieniem zagadnień problematyki katolicyzmu i Kościoła anglikańskiego. Później zaczęłam się rozglądać za współpracownikami — realizatorami przedstawienia. I tak np. nie chciałam mieć narzuconego scenografa, lecz właśnie znakomitego prof. Mariana Kołodzieja.

— Dlaczego zdecydowała się pani właśnie na „Marię Stuart"?

— Sądziłam, że tematyka tego dramatu muzycznego doskonale odpowiada naszym czasom i problemom, niosąc w sobie prawdy, które choć działy się w XVI wieku, są bliskie i nam, odnoszą się do współczesności. To dzieło powstało w samą porę i uważam, że nie wolno było realizować go i wystawiać w późniejszym czasie.

— W Łodzi gościliśmy panią po raz trzeci, a po raz drugi — jako reżysera operowego...

— Mam sentyment do tego miasta i jego sceny operowej. W latach 1967—70 śpiewałam na scenie łódzkiego Teatru Wielkiego Jarosławne w „Kniaziu Igorze", „Halkę", „Toskę". Karierę śpiewaczą w operze zakończyłam 10 lat temu, mój pożegnalny występ w partii Elzy w operze Wagnera „Lohengrin", miał miejsce właśnie w Łodzi. Ponadto, właśnie tu podjęłam decyzję podjęcia studiów reżyserskich, choć odbyłam je nie w Łodzi, lecz na Wydziale Reżyserii PWST w Warszawie. Do Łodzi powróciłam w 1976 roku, aby wyreżyserować prapremierę opery Romualda Twardowskiego (wg Conrada-Korzeniowskiego „Lord Jim". Niedawna wizyta w łódzkim Teatrze Wielkim łączy się dla mnie z najtrudniejszym chyba egzaminem. Realizację prapremiery „Marii Stuart" Romualda Twardowskiego zaliczam do prac szczególnie trudnych. Brakowało przecież inscenizacyjnych tradycji, odniesienia do wzorów. A poza tym — sam twórca opery był obecny podczas mojej pracy, co powodowało, oczywiście, ograniczoną dowolność interpretacji dramatu, choć moje uwagi dotyczące zmian muzycznych były dość znaczne.

— Mimo tych trudności, zrealizowała pani „Marię Stuart" w tempie błyskawicznym i z efektem znakomitym. Przedstawienie stało się wydarzeniem artystycznym na skalę krajową.

— Na zrealizowanie „Marii Stuart" miałam zaledwie pięć tygodni. To niewiele. Ale zrobiłam wszystko, aby zmieścić się w tym czasie, gdyż zależało mi, aby ten dramat muzyczny ukazał się teraz, w obecnej sytuacji, nie później. Sam temat był wspaniały, niezwykły, a jego bohaterka bliska memu sercu. I gdybym miała raz jeszcze narodzić się jako kobieta, mając do wyboru jakąś postać, wybrałabym właśnie Marię Stuart, choćby z toporkiem nad sobą.

— Na swój los nie może chyba pani narzekać, gdyż co prawda nie urodziła się pani królową, ale przecież — wybitną śpiewaczką...?

— W mojej karierze śpiewaczej miałam różne okresy. Byłam na szczytach i później na samym dnie, kiedy zostałam wyrzucona z teatru. Miałam bardzo ciężki okres. Mogłam, co prawda, jeździć po prowincji z koncertami, chałturzyć, ale nie chciałam. Debiutowałam w 1949 r. w Operze Śląskiej, mając 24 lata, śpiewałam tytułową „Halkę". Ta opera otwiera wszystkie nowe etapy w moim życiu. W sześć miesięcy później — drugi debiut na Wybrzeżu. 6 przedstawień i angaż do stołecznej opery. W Warszawie śpiewałam 13 lat, m. in. „Aidę", „Toskę", Lizę w „Damie pikowej". Później występy w słynnym Teatrze Wielkim w Moskwie, w operach w Kijowie, Helsinkach, Berlinie, Pradze, Saarbrücken, a także za oceanem, w nowojorskiej Carnegie Hall, Civio Opera w Chicago, w Hawanie. Do swoich największych osiągnięć wokalno-aktorskich zaliczam Katię Kabanową w operze Janaczka, którą śpiewałam podczas 3-letniej pracy w Operze Lipskiej. Tuż przed perspektywą zaśpiewania w La Scali zachorowałam na grypę azjatycką, były powikłania w krtani. Długa kuracja. Na tę grypę zmarł wówczas sławny Beniamino Gigli. W Warszawie orzeczono, że Fołtyn straciła głos.

— Ale pani się nie załamała?

— Wierzyłam w siebie, pomagała mi moja matka. Po roku wróciłam na scenę. Śpiewałam w Lipsku, w RFN, Hamburgu, Lubece, Düsseldorfie. Przez 5 lat tułałam się za granicą. Zaczęłam coraz poważniej myśleć o zdobyciu drugiego zawodu, który uniezależniłby mnie od głosu: o zawodzie reżysera operowego. W 45 roku życia zostałam studentką PWST. Musiałam się uczyć więcej niż inni, ponieważ w tym wieku wiele się zapomina i odwyka od uczenia szkolnego. Po drugie — uważałam, że studia muzyczne i doświadczenie ze sceny nie zastąpią wiedzy teoretycznej o teatrze i wiedzy ogólnej.

— Gdzie odbył się pani debiut reżyserski?

— W 1972 roku na Kubie. Reżyserowałam „Halkę", po raz pierwszy wystawioną w Ameryce Łacińskiej.

— Od czego uzależnia pani dobry rezultat swojej pracy?

— Myślę, że przede wszystkim od dwu spraw: od wartości dzieła i zespołu.

— Jak ocenia pani możliwości zespołu łódzkiego Teatru Wielkiego?

— Czołówka śpiewaków tego teatru należy z pewnością do ścisłego grona najwybitniejszych przedstawicieli polskiej wokalistyki. Podczas obecnej pracy przekonałam się też, że jest tu wielu szczególnie utalentowanych młodych adeptów wokalistyki operowej, którzy umiejętnościami znacznie przewyższają swoich kolegów z Warszawy. Ci młodzi artyści stanowią dobrą przyszłość dla łódzkiej sceny operowej. Wśród nich wyróżniam barytona Krzysztofa Leszczyńskiego, śpiewającego w „Marii Stuart" partię Bothwella — zdumiewającego mnie wewnętrzną siłą aktorską, którą już posiadł mimo młodego wieku oraz bogactwem wyrazu artystycznego. Chór jest bardzo „aktorski", znalazłam tu wielu artystów, którzy moje reżyserskie zamierzenia wykonali naprawdę wspaniale. Żałuję, że kompozytor opery nie napisał więcej chórów...

— A propos. Jeden z recenzentów napisał po premierze „Marii Stuart": „Reżyser Maria Fołtyn zdecydowała się na dość statyczne poprowadzenie niektórych głównych ról, zadbała natomiast o czynną „obecność" na scenie artystów nie obdarzonych w danym momencie najważniejszymi zadaniami". I co pani reżyser na to?

— Być na scenie, to nie znaczy biegać od kulisy do kulisy. Być na scenie, to znaczy istnieć, także np. stojąc. I to jest trudniejsze.

— „Marię Stuart" może zaliczyć pani do swoich sukcesów reżyserskich. Ale czy potrafi pani przyznawać się do swoich błędów i niepowodzeń?

— Tak, mam w tym dużo męskiego charakteru i nawet umiem mówić o tym głośno. Sama często popełniałam błędy, ale popełniali je również moim dyrektorzy. Mój głos to sopran liryczny-spinto, temperament skłania mnie ku sopranowi dramatycznemu, zdrowie predysponuje mnie do śpiewania partii na sopran liryczny. Przeżywałam różne kryzysy, ale bardziej zdrowotne niż głosowe. Często choruję, choć pozornie wyglądam na osobę zdrową i silną.

Foto: Z. Nasierowska

MARIA FOŁTYN: „Nauczyłam się, że słaby człowiek ginie, więc uczę się być silną i mocną.

— Nie uwierzę, jeśli powie pani, że ma pani również słaby system nerwowy. Powszechnie wiadomo, że Fołtyn jest silną kobietą...

— Tylko gram taką silną. W rzeczywistości jestem słaba i wrażliwa, choć po licznych porażkach uodporniłam się na ciosy i stresy. Nauczyłam się, że słaby człowiek ginie, więc uczę się teraz być silną i mocną. I kiedy już jestem słabą i bezbronna — chowam się przed ludźmi, zajmuję się zupełnie czymś innym. Kiedy już się pozbieram — idę znowu do przodu. Nigdy nie rezygnuję.

— Ale z etatu głównego reżysera Operetki Warszawskiej jednak pani zrezygnowała?

— Nie chciałam dostać zawału, bo i po co? Z tego powodu? W Operetce Warszawskiej istnieję etatowo do końca tego sezonu teatralnego. Ryszardowi Pietruskiemu dano dyrekcję i kierownictwo artystyczne oraz wszelkie uprawnienia płynące z tego tytułu. Mnie dano tytuł głównego reżysera, ale sam tytuł to za mało. Miałam pomysł na ten teatr, w odróżnieniu od dyrektora Pietruskiego, który nie miał żadnego pomysłu. W związku z tym nie mogliśmy dojść do porozumienia. Teatr trzeba kochać rozumnie. Bałam się, że mogę ulec czemuś, do czego mam obrzydzenie. Chciałam bronić godności własnej i stanowiska. Odchodząc — zachowałam tę godność i godność artystyczną, bez względu na to, że nie wiem, co czeka mnie w życiu.

— Wróciła pani do opery, o której mówi się, że jest gatunkiem skostniałym i przemijającym?...

— To nieprawda. Na świecie panuje wielka, awangardowa hegemonia teatru operowego. To teatry dramatyczne giną, szukają ratunku w muzyce. Ich sale są puste, a proszę spróbować zdobyć bilet do teatrów operowych w Nowym Jorku, Moskwie, Tokio, Londynie czy Paryżu... Muzyka wciąż pozostaje największym walorem życia współczesnego.

— Co więc — zdaniem pani — składa się na poziom i rangę każdego teatru operowego?

— Zespół, jego skład oraz dyrektor o wrażliwości strun głosowych, o nieprzeciętnej delikatności, opiekun i fanatyk teatru, doskonale znający się na tak czułym instrumencie, jakim jest teatr operowy. Ogromną rolę odgrywają sprawy psychologiczne.

— Co jeszcze chciałaby pani zrobić w operze?

— Moim marzeniem jest zrealizowanie autentycznego musicalu, wybranego przez mnie. Niezależnie od tego ciągnie mnie bardzo do dzieł współczesnych, a mam niechęć do robienia typowych, XIX-wiecznych oper włoskich. Tymczasem będę reżyserowała „Carmen" i „Trubadura" w Operze Śląskiej.

— Wcześniej będzie pani na Festiwalu Moniuszkowskim w Kudowie Zdroju?

— Tak, po raz czwarty sprawuję kierownictwo artystyczne tego festiwalu. Tegoroczny będzie dwudziesty, jubileuszowy, i mimo, iż mam ogromne ograniczenia budżetowe i festiwal będzie trwał tylko 4 dni, usiłuję zrobić wszystko, aby zabrzmiał rzeczywiście jubileuszowo. Ważne jest, że stał się fesiwalem międzynarodowym. W bieżącym roku udało mi się zdobyć współpracę Biura Kongresów „Orbis", które organizuje przyjazd wycieczek polonijnych na festiwal organizowany pod hasłem: „XIX-wieczne spotkania u wód z Moniuszką".

Jako polska patriotka w sztuce wiem, że należy pokazywać przede wszystkim to, co narodowe. I myślę, że na ten temat wypowiedziałam się już wielokrotnie, realizując na scenach operowych w Polsce, Meksyku, Turcji, Japonii, na Kubie — dzieła Stanisława Moniuszki. Do podjęcia tej akcji inspirowałam także innych reżyserów, w tym zagranicznych. Cieszy mnie fakt istnienia kontynuacji mojej myśli i możliwość przetarcia drogi na operowe sceny świata twórcy polskiej opery narodowej.

— Co po Kudowie?

— Będę na festiwalu w Łańcucie, wyjadę na Kubę, w 10 rocznicę mojej pracy nad wystawieniem pierwszej tam „Halki". Otrzymałam też propozycję reżyserii w Teatrze Muzycznym w Łodzi i chyba ją przyjmę.

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

ŚWIADCZYĆ I POMÓC ZROZUMIEĆ

(Dalszy ciąg ze str. 2)

w Państwowym Zakładzie Wychowawczym nr 1 w Grudziądzu, w którym przebywają dzieci upośledzone w rozwoju. Film koncentrował uwagę na warunkach bytowych tych dzieci, żyjących w prymitywnych, walących się barakach, w warunkach, których istnienie jest w cywilizowanym świecie zbrodnią. Ten wstrząsający obraz pogłębia informacja psychologa, iż około 30 proc. dzieci uznanych za upośledzone to dzieci normalne, które w szkołach i internatach specjalnych znalazły się wskutek błędnej kwalifikacji niekompetentnych „sędziów" wydających straszliwe wyroki. Kolejna pozycja z tej najtragiczniejszej, jaką mi było dane widzieć, serii dokumentów był także znany z telewizyjnej prezentacji film „?" *Krystiana Przysieckiego*, ukazujący i analizujący tragedię, jaka rozegrała się w szpitalu psychiatrycznym w Górnej Grupie.

Wszystkie te filmy są oskarżeniem czasów, w których konsumpcyjny model życia z cynizmem preferując blichtr zewnętrzności, niszczył podstawowe wartości etyczne jednostek i zbiorowości społecznej, jaką jest naród. Śmiem sądzić, że przedstawione w wymienionych filmach dowody mogą mieć silniejszą siłę argumentacji, aniżeli te, które ujawniając ruinę gospodarczą kraju, oskarżają ludzi odpowiedzialnych za los Polaków. Nie sposób się jednak uwolnić w obliczu tych filmów od pytania, gdzie myśmy wszyscy byli?

Na tle zaprezentowanych dotąd filmów szczególnym tonem brzmią obrazy rejestrujące sierpień 1980 roku i miesiące, które po nim nastąpiły. To one, ukazując zbudzone z letargu społeczeństwo, ratują naszą ludzką i narodową godność. To one, w zestawieniu z zapisem zła, które niosły pozostałe filmy festiwalu, wołają jednak teraz o odwagę, ale i mądrość, o czujność, ale i pracę, i o moralne odrodzenie narodu.

Nie było wśród tych filmów dzieł artystycznych wielkich. Ich siła tkwi przede wszystkim w tym, że są zapisem stanu zbiorowej świadomości, świadkami historii i przynoszą jej wielką lekcję. Uświadamiają na nowo funkcję filmu dokumentującego życie społeczne w jego wszystkich przejawach. To, co kamery polskich dokumentalistów zdołały od sierpnia zanotować, to bardzo wiele. Lecz to „wiele" uzmysławia, jak to mało. Wiele bowiem barier ustawiono jeszcze przed okiem kamery i przed mikrofonem, do wielu tematów nie potrafiono czy nie zdążono dotrzeć. Jako przykład niech posłuży zagadnienie współczesnej wsi polskiej (jej problemy podejmował tylko film *Tamary Sołoniewicz*) oraz fascynujący socjo-psychologiczny problem nowych działaczy związkowych.

To co zdołano bardziej lub mniej dokładnie zapisać, to na przykład wydarzenia sierpniowe (dopełniający *„Robotników 80"* film *„Sierpień" Ireneusza Englerta* — Brązowy Lajkonik), walka o zarejestrowanie „Solidarności" (*„Narodziny „Solidarności" Bohdana Kosińskiego* — Srebrny Lajkonik), przyczyny strajku ostrzegawczego w dniu 3 października 1980 (*„Strajk ostrzegawczy" Janusza Trusa* i *Andrzeja Mielczarka*), tworzenie się tzw. struktur poziomych w świetle wydarzeń toruńskich organizacji partyjnych (*„Struktury" Łucji Klimas* — wyróżnienie Klubu Krytyki Filmowej), historia terenów myśliwskich URM w Bieszczadach (*„Sokoliki" Krystiana Przysieckiego*) i kilka innych tematów. Nie ma w tych filmach głębszych analiz, interpelacji i uogólnień, co nie jest jeszcze w tej chwili zarzutem. Sądzić należy, że na to czas dopiero przed polskim dokumentem, który oby owej funkcji bezpośredniego świadka zdarzeń nigdy już nie utracił.

Pojawiły się na ekranie z tej serii jedynie dwa filmy, w których intencja publicystyczna i zamysł artystyczny szły w parze. Jednym z nich jest obdarowany Srebrnym Lajkonikiem *„Pomnik" Tomasza Lengrena* i *Mariana Terleckiego*, w którym obrazowi przygotowań i odsłonięcia pomnika Ofiar Grudnia 1970 towarzyszy opowieść matki, która w tych tragicznych wydarzeniach straciła syna. Oskarżycielskiej i emocjonalnej siły tego filmu żadne słowa nie opiszą.

Drugim Srebrnym Lajkonikiem jury nagrodziło film *„Ścinki 1970—1981" Zygmunta Dusia*. Owe tytułowe ścinki to kawałki zapisanej w reportażach telewizyjnych taśmy filmowej. Są to fragmenty, które z racji różnych, najczęściej jednak z powodu głupoty pytań i odpowiedzi oraz zachowań interlokutorów nie znalazły się w prezentowanych w telewizji wywiadach. Zderzone z patosem pięknie filmowanych, także autentycznych relacji z oficjalnych uroczystości z minionych lat, tworzą wspaniałą, choć gorzką satyrę czasów propagandy sukcesu. Ten jedyny film, budzący na widowni huragany śmiechu, przypomniał oczyszczającą jego funkcję. Może nadejdzie chwila, gdy znów będziemy się śmiać.

Pora przejść do grupy filmów, bez których nie ma krakowskiego festiwalu, a które z racji oczywistych sytuowały się na drugim planie zainteresowań tegorocznej publiczności. Mowa tu o filmie animowanym, który pojawił się w dość licznej reprezentacji. Jeśli spośród niej można z całym przekonaniem wskazać na trzy filmy ciekawe, w tym jeden wybitny, to chyba niemało, choć pozostałe niewątpliwie bardzo rozczarowywały. Wspomniane filmy, to: *„Droga z przejazdem strzeżonym" Andrzeja Warchała*, wyróżniona przez Klub Krytyki Filmowej, *„Portret niewierny" Ewy Bibańskiej* z WFO — Brązowy Lajkonik za debiut oraz *„Tango" Zbigniewa Rybczyńskiego* — Brązowy Lajkonik w kategorii filmu animowanego, film rewelacyjny, nazywany przez wielu arcydziełem kina animowanego. Sukces młodego reżysera z łódzkiego „Semafora" ucieszył nas szczególnie. I warto zaprezentować go publicznie, gdyż ani pomysłu, ani jego realizacji nie podejmuję się słowem opisać: jest on bowiem nieprzekładalnym żywiołem animowanego filmu.

Pro domo sua wspomnieć też należy smutne słowa werdyktu: „Nagrody główne w kategorii filmu oświatowego jury postanowiło nie przyznać". Godzi się zdanie to opatrzyć komentarzem wygłoszonym na konferencji prasowej przez naczelnego redaktora WFO, dr *Władysława Orłowskiego*, który zwrócił uwagę na to, iż zgłoszone przez wytwórnię filmy oświatowe, godne w przekonaniu zespołu prezentacji na festiwalu, zostały przez komisję selekcyjną odrzucone. Ze swej strony dodam, iż jedyną w mym odczuciu pomyłką tegorocznego jury było niedostrzeżenie znakomitego filmu *Stanisława Janickiego „Bracia polscy"*, reprezentującego zarówno WFO jak i ten rodzaj filmów, które obejmujemy umownym określeniem — oświatowe.

W imieniu wszystkich tych, których filmy nie znalazły się w konkursie i tych, którzy chcieli je obejrzeć, z żalem skonstatować należy, iż wskutek konieczności zamknięcia festiwalu w dwóch, a nie w czterech dniach, nie doszło do realizacji nowej w krakowskiej imprezie idei, to znaczy prezentacji filmów w tzw. Salonie Odrzuconych. Obraz polskiego kina ostatniego roku byłby wówczas na pewno pełniejszy, choć to, co zobaczyliśmy, napawa wiarą, iż film krótki rozpoczął swój nowy okres.

EWA NURCZYŃSKA

ŁAGODNIE Z PAŁKĄ U PASA

Dalszy ciąg ze str. 1

próbować rozluźnić pęta. Z zawodu był mechanikiem samochodowym i dzięki temu zapewnie wywinął się nieszczęściu. Najpierw postanowił przegryźć (i przegryzł) przewody elektryczne w nadziei, iż samochód bez świateł zwróci na siebie uwagę jakiegoś patrolu milicyjnego lub taksówkarza. Potem, uwalniając ręce, zdołał otworzyć bagażnik i kiedy „Fiat" przystanął na chwilę przy rogu Piotrkowskiej i Czerwonej, wyskoczył na bruk. Zszokowany, wpadł do portierni Zakładów im. Dzierżyńskiego i stamtąd zaalarmował posterunek MO.

Był to owej nocy jedyny tajemniczy, filmowy że tak powiem, incydent na milicyjnej antenie. Reszta wiała prozą życia. Z tym, że proza również potrafi być dowcipna i brutalna. A to rozebrany kompletnie pijany mężczyzna wędruje z pojemnikiem na śmieci, a to prostytutka robi na rzecz fotoreportera maleńki striptiz, a to zazdrosna połowica nakrywa w łóżku męża z kochanką i rzuca się na nich z nożem, a to znowu jakiś cwaniak wtrynia pod Grand Hotelem przechodniowi tombak zamiast złota, i tak dalej...

O północy wjeżdżamy po raz pierwszy do „delikatesów" na Włókienniczej. Przed wojną ulica ta nazywała się Kamienna i była przede wszystkim siedliskiem prostytutek. Teraz, w czasach prohibicji, jest przede wszystkim pogotowiem alkoholowym. Ceny wzrosły. Jeszcze parę miesięcy temu pół litra żytniej mogłeś kupić tu za dwieście, potem dwieście pięćdziesiąt — trzysta, dzisiaj, imieniny Zofii, za czterysta pięćdziesiąt — pięćset. Kupujący i sprzedający są tak pijani, że nie mają szans umknąć przed radiowozem, w którym zasiada milicyjno-dziennikarska ekipa: wspomniany już *porucznik Kazimierz Kolinka* (nawiasem mówiąc: inicjator akcji, którą z ramienia Komendy kierował *major Zbigniew Kozłowski* oraz *chorąży Zdzisław Pacholczyk*), *porucznik Zbigniew Jagiełło, sierżant Mieczysław Libiszewski, szeregowy Sławomir Kempczyński*, redaktor Krzysztof Turowski z Polskiego Radia, fotoreporter „Odgłosów" Ryszard Łucyszyn oraz Maciej Andrzejewski.

Błysk flesza. Widać przez moment w ciemnościach twarze handlarzy. Są agresywni, nie cofają się o krok. Funkcjonariusze jednak, aczkolwiek w mniejszości, ostro wchodzą w tłum. Słyszę:

— *Rączki z kieszeni, panowie! Grzecznie, panowie! Dokumenty, panowie! Szybciej! Szybciej!*

Jeden z milicjantów trzyma już w ręku dowód rzeczowy: soplicę.

— *Ile pani za to dała?* — zapytuję młodą, przyzwoicie wyglądającą dziewczynę.

— *Ceterysta pięćdziesiąt.*

— *Komu?*

— *A temu!*

Wskazany gość, nabąblowany jak mistrz murarski na trzynastym piętrze wieżowca, odruchowo strzela głową, ale milicjant uchyla się w porę. Zwijają faceta do budy. Część handlarzy rozprysnęła się po bramach. Przekonanie, że w Polsce, w Łodzi, szczególnie nocą, nie ma już władzy, zaczyna w nich powoli wygasać. Nie zmienia to faktu, że w kilka minut później, kiedy na Włókienniczej ponownie pojawił się radiowóz, rozsierdzony „sprzedawca" wyciągnął znienacka butelkę i waląc z rozmachem, minął o centymetr skroń oficera, *Ryszarda Wesołowskiego*. Zgodnie ze swoim nazwiskiem, funkcjonariusz oświadczył pogodnie: Niewiele brakowało, a pojutrze przyszlibyście wszyscy do mnie z kwiatkiem.

Odwiedzamy kilka melin. Jedna z nich usytuowana jest w ogromnym, secesyjnym, pięknym na swój sposób mieszkaniu o wielu pokojach, w których kłębią się jakieś bariogi. Drzwi wejściowe otwarte — pusto. Tłok za to pod „Casanovą" na Zachodniej. Większość restauracji śródmiejskich: „Tivoli", „Savoy" „Europa", kończy działalność o drugiej — trzeciej nad ranem, „Casa" natomiast świadczy usługi do białego rana i towarzystwo o tym najbardziej rozrywkowym charakterze przychodzi się tutaj dopić, a także dobić. Za każdym ranem przed wejściem jakaś drobna awantura, podobnie bowiem jak w sklepach, również przed lokalami obowiązuje kolejka.

W sumie miasto nie przeżywa wstrząsów. Na ulicach spokój i porządek. Podczas kolejnej wizyty na Włókienniczej spotykamy tylko kilku grzecznych spacerowiczów. Wieść o zmasowanej akcji milicyjnej rozniosła się szybko, i „element" postanowił opuścić plac boju. Potwierdza to tezę o słuszności organizowania takich akcji co noc. Ludzie niby mają niechęć do milicji. W ogóle, na całym świecie, nie kocha się policjantów. „Glina", „Łat", „Szmot"; „Flic"; „Perro". A taki gość w mundurze, z pukawą lub pałką u pasa, który podpisał kontrakt na odwagę, raz po raz musi wchodzić tam, gdzie ty nie wszedłbyś za żadne skarby. A jak tylko zawaha się albo wejdzie „nie tak", to mu następnym razem powie kolega: „*Wiesz co, ja z tobą na patrol nie jadę. Ja powiem szefowi, szlag! niech mnie najwyżej zwolni, że ja z tobą pracować nie chcę*". Bo w każdym zawodzie są dobrzy i źli, odważni i tchórzliwi, gorliwi i nadgorliwi. Każdy tchórzliwy policjant powinien być wyrzucony na zbity pysk. To samo zresztą tyczy się nadgorliwców, którzy w swoją pracę wkładają zbyt dużo serca (czytaj: mięśni), czerpiąc z tego niezdrową uciechę. Swoją drogą — jakie to dziwne, że właśnie w tym zgniłym, ohydnym kapitalizmie, pisarze i filmowcy potrafią pokazać szeryfów, których kochamy i Kojaków, których uwielbiamy. W Polsce nie udało się to jeszcze żadnemu twórcy. Pozostaje więc pytanie: czy to milicja taka zła, czy nieudolni artyści? A może, gdyby władze milicyjne otworzyły się przed nami, ludźmi pióra i kamery, trochę bardziej, może gdyby przestały nam serwować na każdym kroku smędy i bajery, może gdyby zezwoliły swoim podkomendnym na trochę więcej szczerości wobec mikrofonów i magnetofonów, moglibyśmy przynajmniej od czasu do czasu pokazać milicjanta-przyjaciela, milicjanta-bohatera, milicjanta-romantyka! Jest przecież wśród polskiej, znienawidzonej milicji cała masa pięknych, zasługujących na szacunek, mądrych, inteligentnych, wykształconych ludzi. Są tacy, co potrafią skoczyć w przerębel za topielcem i tacy, co wyciągną dziecko z płonącego domu, są tacy, co potrafią zatrzymać ruch na ulicy, aby przepuścić kulawego psa i tacy, co ustawiają się w kolejce po mleko, aby nakarmić znalezionego w bramie podrzutka. Są oczywiście również tacy, których fotografie można by z powodzeniem pokazywać dzieciom, które nie chcą jadać manny kaszy. Ale, mój Boże! nie ma w żadnym kraju, na całym świecie, ani jednej takiej profesji, której przedstawiciele składaliby się z samych diamentów. Milicja być musi. I to silna, operatywna milicja. Kto tego nie rozumie, jest idiotą. Kto się temu sprzeciwia, jest szaleńcem działającym na szkodę społeczeństwa. Kobieta, która wraca w nocy do domu nie oświetloną, podmiejską ulicą, chce mieć pewność, że gdzieś tam od czasu do czasu przejdzie patrol, przejedzie radiowóz, że nikt jej nie ograbi, nie zabije, nie zgwałci.

Odnowa milicji jest taką samą koniecznością, jak odnowa wszystkich innych pionów władzy. Wiem, że pisząc ten reportaż, zdobędę sobie niechęć wielu czytelników. Ktoś powie: Andrzejewski broni gliniarzy? Ale nie jestem przecież wyjątkiem. Nie kto inny, jak Jan Paweł II dziękował publicznie w czasie papieskiej wizyty w Polsce funkcjonariuszom, którzy *tak pieczołowicie a jednocześnie dyskretnie* czuwali nad jego bezpieczeństwem. Powiedział mi młody milicjant: *Wszyscy my, z ochrony papieża, postawiliśmy sobie za punkt honoru, aby naszego wielkiego rodaka nie spotkała w kraju najdrobniejsza nieprzyjemność.* Puste słowa? Czy ja wiem? Wśród trzydziestu pięciu milionów rodaków też kryje się zapewne niejeden żądny krwi i plugawej sławy, współczesny Herostratos. Inny milicjant zwierzał się w Klubie Dziennikarza, a było to już po zbrodniczym zamachu na życie Jana Pawła II: *Jestem ateistą, ale papieżowi oddałbym swoją krew.* W tym momencie tysiąc dewotek wrzaśnie: *my oddałybyśmy życie!* Z tym, że jakby przyszło co do czego, wielu by tego życia nie oddało, ten milicjant natomiast, o ile go znam, podwinąłby rękaw...

I jeszcze jedno: atakując totalnie milicjantów nie zapominajcie, że większość z nich ma swoje żony i dzieci, i kiedy taki gość, ściągnięty ze snu jedzie polować na przestępcę, a później, przez parę godzin nie wraca, to owe żony i dzieci, podobnie jak żony i dzieci wszystkich policjantów na świecie, zaczynają powtarzać modlitwę: „Boże, spraw, żeby naszemu tacie nie przytrafiło się nic złego".

I jeszcze jedno, już na zakończenie: twórcy pomnika Poległych Stoczniowców w Gdańsku, po konsultacjach z Episkopatem, zgodzili się umieścić na monumencie, pośród nazwisk pomordowanych stoczniowców, nazwisko jednego z milicjantów. Był to symbol — znak odpuszczenia, nadzieja, że milicyjna broń nie wyceluje już nigdy w pierś robotnika.

Uwierzmy w to! Nie dajmy się dzielić. Bardziej niż kiedykolwiek potrzebna nam zgoda!

Uff! Znowu jesteśmy na Włókienniczej. Porucznik zatrzymuje radiowóz i mówi:

— *Sznurek!*

W milicyjnym slangu oznacza to osobnika, który leży równo pod ścianą, nie wiadomo jeszcze: pijany czy zabity. Ten, na szczęście, żyje. Nieprzytomny. Z podkrążonym okiem. Sadzimy go na chodniku. Po chwili dochodzi z lekka do siebie.

— *Nikt panu nie dołożył?*

— *Nie wiem. Chyba nie...*

— *Zginęło coś panu?*

Maca się po kieszeniach. Zegarek i obrączka na miejscu. Dowód. Zostaje spisany. Pada komenda:

— *Izba Wytrzeźwień!*

Gość wzdraga się. Z każdą chwilą trzeźwiejszy. Ma sympatyczną, młodą twarz inteligenta technicznego. Gdyby nie leżał na ziemi, jego ubranie, koszulę, buty, krawat, trzeba by uznać za eleganckie. Wyobrażam sobie przez moment, jak budzi się następnego ranka, w wolną sobotę, na nieznanym łóżku, pośród nieznanych, skacowanych ludzi. Wyobrażam sobie również rodzinę, która, być może, czeka teraz na niego. Tata nie wraca ranki i wieczory... — przyplątał się jakoś do mnie ten wiersz i mówię do porucznika Kolinki:

— *Zrób mu prezent.*

— *Jaki?*

— *Puść go do domu.*

Reszta milicjantów milczy. Wyczuwam jednak, że mają mi za złe. Jak się wkrótce okazało, słusznie mieli mi za złe. Gość odchodzi dosyć pewnym krokiem w kierunku ulicy Narutowicza, ślubując, że uda się wprost do domu. Tymczasem ekipa, przeczesując rutynowo bramy i zaułki, natrafia nagle na sztywną, czarną aktówkę, z której wysypało się na zaświntuszony przesmyk między domami trochę papierów. W środku, obok innych papierów z nadrukami różnych instytucji, znajdujemy prawo jazdy i legitymację partyjną. Zdjęcia niezupełnie podobne, adresy różne, ale imię i nazwisko to samo. Jest to nasz inteligent techniczny, którego przed dwudziestoma minutami puściliśmy do domu. Tylko, gdzie jest ten dom? Który adres można uznać za prawdziwy?

Krótkofalówka podaje parę komunikatów. Niepokoje pod „Casą", próba włamania do samochodu w okolicach alei 1 Maja. W tym drugim wypadku przejeżdżamy wystarczająco wcześnie, aby spłoszyć złodziei.

Jest teraz czas, aby odwiedzić mieszkanie inteligenta technicznego. Trafiamy właściwie. Zgodnie z przewidywaniami, żona nie śpi. Wbrew moim nadziejom, gość nie zdążył jeszcze dotrzeć na miejsce.

— *Czy to teczka pani męża?*

— *Tak.*

— *A te dokumenty? Poznaje je pani?*

— *Oczywiście.*

Wyjaśniamy jeszcze kilka kwestii spornych. Kobieta okazuje nam swój dowód osobisty. I nagle, nie byłaby przecież kobietą, sama zaczyna zadawać pytania:

— *Panowie, ja wam bardzo dziękuję, ale powiedzcie prawdę: on był tam... w towarzystwie?*

— *Co ma pani na myśli?*

— *Nooo... jakąś dziewczynę...*

— *Nie było żadnej dziewczyny* — zapewniamy. A ja myślę: dokumenty trafiły do domu wcześniej niż on sam. Jeśli spóźni się jeszcze o dwie — trzy godziny, żona zrobi mu na powitanie gorsze piekło, niż zrobiłby ktokolwiek w Izbie Wytrzeźwień.

Od tego momentu postanawiam nie wtrącać się do milicyjnych działań. Los jednak, zgodnie zresztą z moim życzeniem, wyznacza nam tego ranka funkcje opiekuńczo-pedagogiczne. W

ciągu całej akcji ani razu nie zafurczała pałka. Na placu Wolności natomiast Mieczysław Libiszewski krzyczy: — *Zatrzymaj no się! Zatrzymaj!* — Wyskakuje w biegu i po chwili wyciąga zza pomnika Kościuszki dwóch ukrytych tam chłopców. Jeden wygląda z górą na dziesięć lat, maleńki, szczuplutki, twierdzi jednak, że ma piętnaście. Drugi jest nieco starszy.

— *Co tu robicie?*

— *Nic.*

— *Wyjmijcie no wszystko z kieszeni.*

Nicują kieszenie. Dziesięć złotych, nadłamany papieros, zapałki. Próbują przerzucać wzajemnie na siebie owe „dowody winy".

— *Zapałki są twoje.*

— *Nie! Twoje.*

— *A właśnie, że twoje! Papieros też jest twój.*

— *Gdzie mieszkacie?* — przerywa im funkcjonariusz.

Podają adresy dwóch odległych od siebie, peryferyjnych ulic. Jedziemy tam, najpierw do tego mniejszego. Po drodze trwa przesłuchanie. Obaj są uczniami szkoły specjalnej. Gdzie byli wieczorem? W cyrku. Pomagają tam trochę „w czynie społecznym", w zamian za możliwość darmowego obejrzenia programu. Codziennie oglądają programy. Podobają im się po prostu lwy, konie, tygrysy, a także woltyżerki w cekinowych strojach. Potem nie chciało im się wracać do domu. Czy pierwszy raz uciekli na całą noc? Nie, nie pierwszy. A to strajk pojechali obejrzeć w pewnym odległym miejscu, a to znowu do Warszawy...

— *A w Warszawie, to co was interesuje?* — pyta Kazimierz Kolinka.

— *Mmmmuzeum* — odpowiada starszy, jąkający się regularnie.

— *Przecież w Łodzi też są muzea?*

— *A-a-a-le wojskowe.*

— *Rozumiem: szable, armaty. I co na to twoja mama?*

Okazuje się, że nie mieszka z mamą. Mama wychowuje inne dziecko, a on jest pod opieką babci. Tak, bardzo szanuje babcię, ale babcia jest nerwowa i ciągle go bije. Co się tyczy tego małego, również szanuje swoich rodziców — tata jest po dwóch zawałach, wciąż choruje.

— *I nie wstyd tobie denerwować tak chorego tatę?*

Milczy. Wysiadamy z radiowozu. Funkcjonariusze nie mają pewności, czy malec podał prawdziwy adres i ostrzegają go łagodnie:

— *Tylko nie próbuj uciekać.*

— *Nie, proszę pana. Ja nie mogę uciekać. Ja mogę tak tylko trochę szybciej iść.*

— *Dlaczego?*

— *Bo ja mam wadę serca, proszę pana.*

W obu wypadkach stosujemy tę samą taktykę: chłopak pod opieką jednego z milicjantów zostaje na schodach, reszta z nas wchodzi do mieszkania. W obydwu wypadkach rodziny śpią. Ojciec małego zawałowiec, nie ma najwyraźniej siły podnieść się z łóżka. Matka na pytanie, gdzie jest syn, kręci przecząco głową.

— *I pani tak spokojnie sobie leży. Nie szuka pani dziecka, nie zawiadamia milicji?*

Ano, nie zawiadamia. Stała do drugiej przy oknie, potem ją zmogło. A gdzie on jest?

Funkcjonariusz wprowadza małego, i zaczyna się milicyjna edukacja, którą w gruncie rzeczy powinny prowadzić szkoły i poradnie specjalne. Że mały szanuje rodziców i kocha, że powinni okazać mu więcej troski i serca, że w żadnym wypadku nie należy go bić, a teraz powinien umyć się i iść do łóżka.

— *Tak, tak. Nikt go nie będzie bił. Zaraz pójdzie do łóżka.*

W pół godziny później babka starszego, jąkającego się chłopca, reaguje inaczej. Najpierw kiedy dziecko jest jeszcze na schodach, załamuje z rozpaczy ręce, potem, kiedy milicjant wprowadza je do pokoju, z miejsca zaczyna się odgrażać: że będą baty, że będą wciry...

— *Zaraz, zaraz* — stopuje ją milicjant. — *Pani przypadkiem nie wie, dlaczego on się tak jąka? Żadnych batów, żadnych wcirów. Może lepiej z nim spokojnie porozmawiać, jak się wyśpi?*

Wychodzimy gęsiego. Jest piękna, słoneczna pogoda. Piąta. Jedziemy do śródmieścia. Jestem zmęczony, ziewam. Ci w mundurach natomiast wydają się w dobrej formie. Chwalą noc. Spokojna, w gruncie rzeczy. Bez sensacji. Laurów za coś takiego to oni się nie spodziewają. Pracują zresztą na scenie, gdzie nie biją braw. Niejednemu pewnie ciężko teraz nosić mundur — tu szyderstwa, tam chichoty. Jak są — gwizdy, jak ich nie ma — pretensje. Ano, taki dzisiaj ich los. Nie tylko im, nam wszystkim powinno zależeć, aby go zmienić.

MACIEJ ANDRZEJEWSKI

Foto: R. Łucyszyn

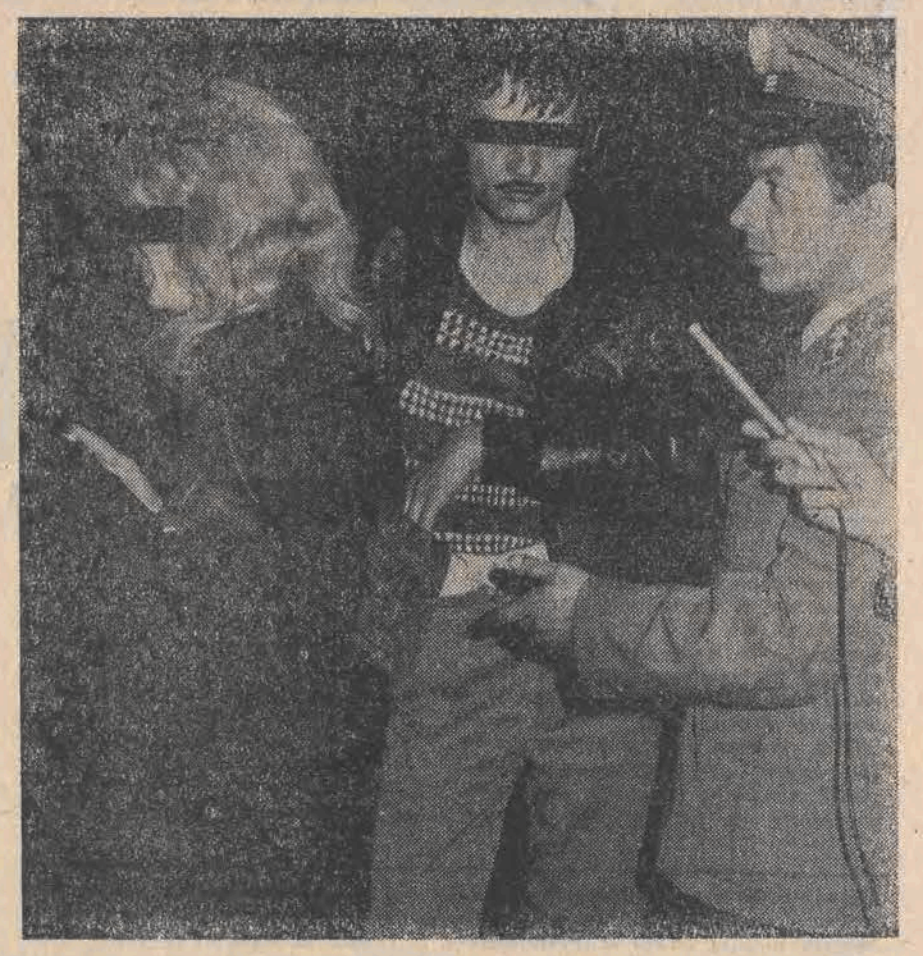

LEWYM OKIEM

SZCZYTOWE DNO

Już chciałbym wszystko rozumieć, już bym nawet po zrozumieniu wszystkiego — wszystko wybaczył. Czytam tyle mądrych wywodów, coś mi prawie zaczyna świtać, potem przeczytam albo usłyszę jeszcze coś — i znów się wszystko wali na zbitą głowę. Na bardzo zbitą głowę.

Byliśmy do niedawna mocarstwem mlecznym. Mleczne rzeki płynęły przez kraj, całe sterty skrzynek z pełnymi butelkami zostawały w sklepach nie sprzedane mimo niskiej przecież ceny detalicznej. Wielu rzeczy brakowało, ale mleka nie było rano pode drzwiami tylko wtedy, kiedy roznosicielowi „coś wypadło". I nagle, z dnia na dzień, nie ma mleka w mieście.

Tego na zdrowy rozum nie da się pojąć. Mówiono nam, że po olbrzymiej zwyżce cen skupu nagle zacznie płynąć mleko, którego produkcja i dostawa dotychczas chłopu się nie opłacała. Nie opłaciła się, a mleko było! A teraz opłaci się, a nie ma.

Mówią — w radio i w telewizji były takie bardzo uczone ministerialne rozmowy — że nie ma dojarek, poideł, żłobów, że to dlatego nie ma mleka. Ale przecież to mleko było! Czy dojarek, poideł i żłobów było na wsi pięć, trzy, dwa lata temu więcej niż dziś? Mleko było.

Ostatnio spotykamy się z jeszcze inną śpiewką: to nie ceny, poidła i żłoby, to butelki. Nie ma butelek, więc chyba mleko wylewa się wprost do rzeki, bo i na ser też go się nie przerabia. Serów też nie ma. Nigdy tego nie zrozumiem. A jeśli nie ma butelek — to gdzie się podziały? Ludzie wykupili, jak proszki do prania, czekoladę i papierosy? Kto chomikuje butelki i po co?

Ale co tam mleko i butelki. W „Życiu Warszawy" czytam, że system kartek na mięso jeszcze i dlatego przysparza tylu kłopotów, że sprzedawczynie w sklepach nie mają nożyczek... Zabrakło nożyczek, więc nie możemy dostać wołowiny z kością...! Nasza gospodarka osiąga szczyty absurdu.

Od dziś — nie mam co do tego wątpliwości — zabraknie zapałek. Skoro cała prasa ogłasza, że fabryki zapałek ograniczają plan produkcji, to każdy rozsądny obywatel będzie na każdym kroku chwytał ile się da i ustawiał w piramidy pod stołem. Gdzie indziej nie ma już miejsca. Ktoś chwyci, ktoś odejdzie z pustymi rękami. A przyczyna? Przyczyna taka, że etaty są, pieniądze są, nawet mieszkania dla chętnych są, tylko nie ma... kobiet do pracy! Do wczoraj były, a od dzisiaj nie ma. Zniknęły, jak butelki do mleka.

Producenci zapałek oczywiście denerwują się, że ludzie nic tylko zapalają i zapalają. Że uczepili się akurat zapałek, a przecież mogliby sobie sprawić zapalniczki. O rany! Zapalniczka to przecież stal, chrom, knot, benzyna, śrubka, gwincik, blaszka, drucik. Zapalniczka to kosztowny luksus wobec zapałki. Co za mędrzec doradza nam chwytać się z biedy za luksus? Co za naiwniak pisze to i podpisuje w wielonakładowej prasie?

A dziś czytam o wypowiedzi kogoś z zarządu związku spółdzielni mleczarskich. Wynika z niej, że pogłowie bydła spadło tylko o 4 proc. Skup mleka wcale nie spadł. Mleka w miastach nie ma, bo spółdzielnie mleczarskie połączono w „minionym okresie" z innymi, bo handel nie chce, bo roznosicieli nie ma, bo hetka z pętelką...

To już nie szczyt, to dno!

ĆWIEK

CHŁODNIA PEŁNA OPON

Był to samochód-chłodnia pełny nie tylko opon, ale też wielu innych rzeczy, które celnicy zakwestionowali na przejściu granicznym do NRD w Świecku. Opon było 412, oprócz tego: 11 par butów kolarskich, torebka damska wysadzana srebrnymi łuskami, 4 srebrne medale z podobizną Wilhelma I, 79 srebrnych monet, a wśród nich litewskie monety przedwojenne. 34 zegarki kieszonkowe w oprawie ze srebra i porcelany, produkowane przed wojną oraz 22 słoiczki kawioru. Cały ten zestaw towarów zakwestionowanych przez celników w Świecku opublikował „Sztandar Młodych" w numerze 118/119.

Z całą stanowczością twierdzę, że nie jest to felieton sądowy, w którym na ogół opisuje się różne afery kryminalne. Nie mylę się. Jest to felieton sportowy, jako że owa chłodnia pełna opon i nie tylko, należała do Polskiego Związku Kolarskiego i jechała z Polski do NRD 7 maja 1981 roku. Za nią podążał „Fiat Combi", w którym jechały rowery i części zapasowe do rowerów oraz trener Andrzej Trochanowski, mechanik Tomasz Lutow i Jerzy Kaczmarek. Wszyscy oni, jak też kierowca i konwojent samochodu chłodni stwierdzili stanowczo, że przedmioty znalezione w tym samochodzie nie były ich własnością, ani nie były przez nich załadowane. Jedynie Tomasz Lutow wiedział o ich istnieniu, ale — jak zeznał — „zostałem zaszantażowany i przymuszony do zabrania kontrabandy".

Łamy gazet, audycje radiowe i telewizyjne pełne są ostatnio wiadomości o działalności różnych przedsiębiorstw rozrywkowych, które zajmowały się nie tylko eksportem „polskiej rozrywki" na rynki południowej Europy, a przede wszystkim do „słonecznej Italii", ale też prowadziły pod tym pozorem handel żywym towarem. Sprzedawano do nocnych lokali polskie panienki, które w swojej głupocie, naiwności i chęci błyśnięcia gołym półdupkiem przed publiką „zgniłego Zachodu" myślały, że czeka je tam oszałamiająca kariera oraz worki pełne „zielonych". Czekała je tam prostytucja.

Teraz oto mamy nową aferę — tym razem sportową — odkrytą na szczęście przez naszych dzielnych celników, udaremnienie przemytu. Kto to w końcu przemycał? Tego nikt nie wie. Również autor artykułu w „Sztandarze Młodych" Ryszard Starzyński. Sugeruje on, iż wszystko wskazuje na niewinność Tomasza Lutowa. Ale, kto jest winny? Autor artykułu ze „Sztandaru Młodych" twierdzi, że Tomasz Lutow mówi, kto go szantażował, kto go zmusił do wzięcia kontrabandy, ale nie można tego ujawnić dla dobra śledztwa. Sprawa znajdzie chyba epilog w sądzie i być może wszystko wyjdzie na jaw. Ale poczekać na to jeszcze trochę trzeba. Może nawet dłużej niż nam się wydaje.

Nakrycie kontrabandy w Swiecku, w samochodzie, który miał służyć do przewożenia sprzętu dla drużyn polskich kolarzy, biorących udział w XXXIV Wyścigu Pokoju, nie jest jedyną tego rodzaju aferą. Było już ich wiele i to różnych. Mniejszych, większych, całkiem drobnych Nie docierały one na ogół do opinii publicznej, a jeśli docierały to w formie aluzji, niedomówień, czy wręcz plotek kursujących w sportowych środowiskach, wśród ludzi zawsze dobrze poinformowanych.

Kibic na trybunie oglądający sportowe zawody nie zdaje sobie sprawy, że wokół tego stadionu dzieją się różne dziwne rzeczy, ciemne sprawy, że toczy się nieczysta gra. Nie wokół każdego stadionu, każdego klubu, związku, nie w gronie wszystkich działaczy. Ale są tacy, którzy sport traktują prywatnie, jako źródło dodatkowych i to wcale pokaźnych dochodów, przy tym nie zawsze legalnych. Tu chciałabym zwrócić uwagę Czytelników, że afera z „kolarskim przemytem" zdarzyła się 7 maja 1981 roku, a więc w siedem miesięcy po Sierpniu. Ile jest jeszcze ludzi, którzy niczego nie pojęli?

Różne były afery sportowe. Były. Nie jestem naiwna i nie uważam, że wszystko, co dzieje się po sierpniu 1980 roku jest już czyste i szlachetne. Ale trudno mi przejść obojętnie wobec faktu, że pod płaszczykiem sportowej działalności ktoś, firmując to szyldem Polskiego Związku Kolarskiego, czuje się zupełnie bezkarnie i bezczelnie zmusza innych do uprawiania kontrabandy.

Co z tego wynika?

Jeśli chcemy mieć sport odaferzony, jeśli chcemy patrzeć na sportowe zmagania, nie zastanawiając się, kto i ile na tym zarabia, to musimy doprowadzić do pełnej społecznej kontroli sportowych klubów, związków, zrzeszeń Ich działalność musi być jawna, bo służy społeczeństwu. I przez społeczeństwo musi być w pełni kontrolowana.

BOGDA MADEJ

TELEWIZJA

BEZRADNOŚĆ PUBLICYSTÓW

Przed Sierpniem kierowały piórami publicystów dyrektywy propagandy sukcesu (proszę nie przerywać, oczywiście, że nie wszystkich). Dziennikarz w rozmowie z dyrektorem (jakimkolwiek) lub sekretarzem (skądkolwiek) najskrzętniej notował to wszystko, co można było drukować pod tytułem „Polak potrafi" w rubrykach „więcej, lepiej, wspaniale". Aby optymistyczny obraz naszej gospodarki, który w ten sposób powstawał nie różnił się zbytnio od skrzekliwej rzeczywistości, dziennikarz pytał na koniec swego rozmówcę: „A teraz dyrektorze, podajcie przykład jakiegoś absurdu ekonomicznego z waszego terenu" Dyrektor nie musiał się długo zastanawiać. Spoglądał na plik okólników leżących na biurku i cytował pierwszy lepszy. Czym ów absurd był bardziej absurdalny, tym dziennikarz energiczniej zacierał ręce: absurd stanowił formę rozgrzeszenia, był takim dziennikarskim „ego te absolvo" „Polak potrafi, ale „coś" mu „niekiedy przeszkadza".

Po Sierpniu, zwolnione z uwięzi pióra publicystów rozskrzypiały się szmerem (zgrzytem raczej wywołującym ciarki) absurdów. Dziennikarze darli, jeden przez drugiego, wszystkie, mozolnie barwione, pannawzajem o współudział w luksusie („Pani, te skurczygnaty mieli żyrandole ze złota" — komentowały potem kolejki).

Zresztą premierzy, ministrowie i dyrektorzy nie czekają teraz na podchwytliwe pytania. Dziennikarzom przyszło słuchać i zapisywać. Wszystkie rozmowy są jednakowe. „Jaka jest sytuacja w... (w rolnictwie, w zaopatrzeniu, w górnictwie, w przemyśle chemicznym etc. etc.)?". Minister, dyrektor (itp.) już po słowie „jaka", nie czekając na dalszy ciąg pytania, odpowiada: „Sytuacja jest tragiczna". Potem następuje szereg wyjaśnień, brak opakowań, brak surowców, brak części zamiennych, brak energii (etc. etc.). „A limity finansowe?" — pyta z resztką nadziei dziennikarz. „Limity owszem są, ale brak rezerw dewizowych w Banku Handlowym" — kończy minister, dyrektor (itp.), na co dziennikarz już zduszonym głosem mówi „dziękuję za rozmowę". I tak kolejna audycja się kończy. Podupadają więc „Listy o gospodarce", podupadają inne audycje, których autorzy tracą publicystyczny koncept: czy można powielać wciąż ten sam scenariusz?

Nieco dłużej tłumaczyli się decydenci od mleczarstwa (także w łódzkim programie Mariana Krygiera), no bo mleko jest i to ponoć w dużych ilościach. Najpierw brakowało butelek, a kiedy ten argument nie trafił do nikogo, zaczęto mówić o ograniczonych „możliwościach nalewczych". Pojawił się jeszcze problem konwi, cystern, urządzeń chłodniczych, środków myjących, ale i te objaśnienia jakoś nie przekonywały. Więc co? Jak to co? Resztę już znamy. Zużyty sprzęt przetwórczy, brak części zamiennych (tak, tak „limity są") i wreszcie brak braków — czyli puste sejfy dewizowego Banku Handlowego. „Dziękujemy za rozmowę".

Znerwicowani dziennikarze zaczęli formułować inne pytania. „Listy o gospodarce" (gościnnie w Dzienniku Tv) rozpisały ankietę „Czy produkujemy w Polsce coś, co mogłoby się obyć bez importu" (importujemy przecież nawet tartą bułkę). Ciekawym efektu. Zbigniew Zaliński prowadząc audycję „Łódzki Ośrodek Telewizji i Głos Robotniczy prezentują opinie delegatów o najważniejszych sprawach kraju" zapytał zebranych w studio: „Czy jest jakiś zakład w Łodzi, który nie będzie miał kłopotów surowcowych?". Nie muszę dodawać, że w rozdyskutowanym programie zapadła jednomyślna cisza.

Bezradni są więc publicyści. Kogokolwiek zaproszą do rozmowy, ten nie ma nic optymistycznego do powiedzenia. Jak kiedyś niby poszukiwali absurdów, tak teraz naprawdę szukają w potopie „tragicznych sytuacji" czegokolwiek, co motywowałoby nadzieję, już nie na najbliższe miesiące, ale lata. Tonący chwyta się brzytwy. Tylko gdzie ta brzytwa! — że przypomnę dowcip (ale śmieszny, co) Mleczki czy Krauzego.

„Tegoroczne zbiory zapowiadają się wspaniale" — utwierdzają się w chciejstwie redaktorzy telewizyjnych audycji rolniczych. „Zapowiadają się nieźle" — mityguje ich minister, dodając różne warunki, niezbędne do tego, aby żniwa były rzeczywiście udane.

Tymczasem brakło benzyny. Najpierw w Krakowie. Irena Falska rozpowszechniła tę wiadomość na cały kraj. Teraz benzyny zapewne nie będzie nigdzie. „Listy o gospodarce" mają kolejny temat. Ale czy wart podjęcia? Brak dewiz!!!

GRZEGORZ GAZDA

W PAMIĘCI

POZNAŃ 1956
OBRAZ WYDARZEŃ

Dalszy ciąg ze str. 6

informacyjnej. Była to więc pierwsza w PRL organizacja „niezależnych związków zawodowych".

Rozliczenia po wypadkach objęły również partię. Wiele osób (w tym przodownicy pracy) wystąpiło z PZPR, przeciwko 159 skierowano — w wyniku analizy postaw w czasie zajść wnioski do poznańskiej WKKP. Wykluczono z partii 59 osób, udzielono 18 innych kar partyjnych. Najwięcej wydalonych pochodziło z ZISPO i ZNTK. Nie rozwiązano jednak żadnej organizacji partyjnej, której członkowie wzięli masowy udział w demonstracjach, zginęli czy trafili do aresztów. Władze wskazywały na konieczność „zaostrzenia czujności" i „aktywności politycznej", odbiurokratyzowania partii i zmian form oddziaływania na młodzież — w tym zorganizowaną w ZMP, którego członkowie wzięli znaczny udział w zajściach.

„Wypadki poznańskie" stały się przedmiotem badań komisji pod kierunkiem sekretarza **KC E. Gierka.** W ocenach zawartych w dwu wersjach raportu (zresztą fragmentarycznego i mającego luki w opisie faktów) i przedstawionych Biuru Politycznemu, przewijała się **teza o dywersyjnym podłożu zajść i „wrogu klasowym", niemniej wskazano również na inne przyczyny, m. in. na „biurokratyczne nieregowanie na bolączki ludzi pracy, samowolne i błędne posunięcia administracji".** Te konkluzje BP nie były jednak rozpowszechniane, na zewnątrz obowiązywała teoria o pierwszoplanowej roli dywersantów i prowokatorów. Ale w dyskusji na VII Plenum KC PZPR (18 lipca) tylko dwóch mówców broniło tej teorii, inni wskazywali na ekonomiczne i społeczne podłoże zajść: nadmierny centralizm biurokratyczne wypaczenia aparatu władzy, lekceważenie robotników, krzywdzącą politykę płacową, słabość związków zawodowych, brak właściwej reakcji na krytykę prasową itp Mimo to przemówienie **E. Ochaba** i przyjęta na plenum uchwała podtrzymały tezę o **„dwóch nurtach" wypadków (nurt „robotniczego rozgoryczenia" i „nurt wrogich wystąpień przeciw władzy ludowej")** i o świadomym wykorzystaniu **„usprawiedliwionego robotniczego niezadowolenia"** przez zorganizowane i inspirowane z zewnątrz **„kontrrewolucyjne podziemie".**

Wypadki poznańskie spowodowały krótkie zahamowanie tendencji „odwilżowych", ale jednocześnie przyśpieszyły dojście do władzy grupy działaczy o bardziej demokratycznych przekonaniach. Zasadniczej rewizji oceny **„Poznańskiego Czerwca"** dokonało historyczne VIII Plenum w dniach 20—21 października W swym przemówieniu **Władysław Gomułka** nazwał **„wielką naiwnością polityczną" — nieudolną próbę przedstawienia bolesnej tragedii poznańskiej jako dzieła agentów imperialistycznych prowokatorów". Robotnicy Poznania nie protestowali przeciwko Polsce Ludowej — stwierdził W. Gomułka — Protestowali oni przeciwko złu, jakie szeroko rozkrzewiło się w naszym ustroju społecznym, przeciwko wypaczeniom podstawowych zasad socjalizmu, który jest ich ideą. Przyczyny tragedii poznańskiej i głębokiego niezadowolenia klasy robotniczej tkwią w nas, w kierownictwie partii, w rządzie. Materiał palny zbierał się całe lata".**

W pierwszą rocznicę **„czarnego czwartku"** na grobach wszystkich poległych złożono wieńce Przemawiali reprezentanci władz i zakładów pracy. Załoga „Cegielskiego" (wróconо do starej nazwy) domagała się pierwotnie, by nadać obchodom znacznie większy rozmach. Napotkało to opór władz. **W czasie spotkania z załogą „Cegielskiego" 6 czerwca 1957 r. ten sam polityk, który siedem i pół miesiąca wcześniej nawoływał do odkrycia „całej prawdy", ostrzegł robotników przed uleganiem wpływom „szakali", „czarnej reakcji", która „usiłuje żerować na poznańskim czwartku". Tego żeru należy ją pozbawić"** — stwierdził **W. Gomułka** i porównał poznańskie wypadki do rodzinnej tragedii, o której zapomnieć nie można, ale na którą trzeba **„jak najgłębiej zapuścić żałobną kurtynę milczenia".** Kurtyna ta pozostawała nie odsłonięta przez ćwierć wieku. Stało się tak, jak napisał w wierszu poświęconym poznańskiej tragedii poeta **Adam Ważyk:**

„Czerwiec kończy się jak ten wiersz milczeniem"...

Opracowanie:
TOMASZ SOLDENHOFF

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy"; al. A. Mickiewicza 11; kod 90—438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów Informacje o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa—Książka—Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 156 zł Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa—Książka—Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto NBP XV odd. ial w Warszawie nr 1153 201045-139, prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa—Książka—Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96; kod 90-963 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 1255. K-2.